

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 8 marca 1959 r.

MARIAN ZDROJEWSKI

CZEMU SIĘ BUNTUJESZ?

Długo nie mogłem zdecydować się jaki obrać kierunek. Bo i sam list nie ujawniał miejsca zamieszkania autorki. Przyszedł bez nadawcy, pełen ekliwego lamentowania i jak na złość nawet stempel pocztowy miał nieczytelny. Ot, szukaj wiatru w polu.

Nie wiem także dlaczego właśnie ten — spośród dziesiątków nadchodzących listów — wywarł na mnie takie silne wrażenie? Jak gdyby poza nim kryło się więcej bezimiennych ludzi, którzy nie zdobyli się na list:

„...Mam dwadzieścia lat. Od roku pracuję w zawodzie, który towarzyszył mi w marzeniach od dzieciństwa — jestem nauczycielką. Ale też i od roku zastanawiam się czy marzenia w życiu codziennym zawsze mają tak wykoślawione kształty? Przecież jak każda dziewczyna w moim wieku pragnęłabym mieć swój kąt, po całotygodniowej pracy możliwość zabawienia się, a wreszcie znaleźć tego „jedynego”, z którym mogłabym, idąc przez życie znosić swoje wznioły, upadki, mieć dzieci... To takie proste i tak oczywiste, prawda? A jednak...

Mieszkam i pracuję w wiosce, która jest przystawionym „światem zabitym deskami”. Do autobusu, przejeżdżającego raz dziennie — 8 km, do miasteczka — 15, do powiatu ponad 50 km. W szkole jest nas cztery młode nauczycielki. Budynek szkolny zastępują nam wynajęte w różnych miejscach izby mieszkalne, a same mieszkamy kątem u gospodarzy. W takich warunkach trudno jest mówić o pracy nad sobą, o przygotowaniu się do lekcji, o pracy w środowisku, do już o kłacie, teatrze, nawet nie myślę. A czy nie mam prawa marzyć o karnawale? Czyż nie mam prawa do młodoci?

Minął rok pracy w takich warunkach, minie jeszcze 5 i co dalej, jeżeli dzisiaj wyjazd do biblioteki, bez której nie można się obyć, jest problemem? Co dam środowisku, w którym powinnam działać? Wiem, że powinnam działać, zrozumiałe, ale czyż dużo potrzeba, by to środowisko mnie pochłonęło? A co z moim życiem osobistym?

Boję się...”

Na pewnej konferencji nauczycielskiej usłyszałem prawdziwą opowieść o dwu „wiejskich nauczycielkach”. Panna X. miała 20 lat, kiedy przyszła uczyć do wiejskiej szkoły. To nie szpetota zaprowadziła ją na wieś, przeciwnie, umiłowanie zawodu, zapał i wszystko to co odnajdujemy w nauczycielu z prawdziwego zdarzenia. Żyła z dala od miejskiego jazgotu, tworząc sobie — wśród działki — własny świat. Nie wiem czy to bojaźń przed samotną starością czy też perspektywa pozostania jedną z tych gadatliwych, wydrwionych — starych pańien tak często spotykanych na ekranach, a może proste ludzkie uczucia sprawiły, że mając ponad 30 lat,

(Dalszy ciąg na str. 8)



Dziś w numerze:

Włodzimierz Sokorski i Jan Świdorski
Wypowiedzi o teatrze Dejmk

Na stronie 10
Arkusz zbiorczy pytań i odpowiedzi konkursu „Wszystko o mieszkaniach”

ANDRZEJ JAROSŁAWSKI

Spór o trzecią zmianę

Mysleliśmy poniższej rzeczy nadać efektowny tytuł: PANI KWIATKOWSKA JEST ZMECZONA. Uznaliśmy wszelako, iż ta formuła brzmiałaby fałszywie. To prawda, że bohaterka naszego reportażu jest zmęczona i że znuzone są tysiące kobiet łódzkich, które Kwiatkowska tylko uosabia. Nie wolno jednak poprzestawać na stwierdzeniu smutnej prawdy, skoro ten łódzki problem nr 1, a w każdym razie problem pierwszorzędny, jest troską partii, ojców miasta, władz przemysłu.

W toku dyskusji przedzajdowej nie było chyba konferencji, gdzie by ten spór o trzecią

zmianę z różną siłą nie wystąpił. Nie ma też chyba w Łodzi świadomego członka partii, który by sprawę trzeciej zmiany lekce sobie wazył. Wiadomo nam skądinąd, ile energii, ile serca poświęciła sprawie trzeciej zmiany I SEKRETARZ KŁ, TOW. MICHAŁINA TATAR-KÓWNA.

Z tej inspiracji, z najlepszej woli, aby Kwiatkowskim użyć, wyniki ten spór. Rzeczą naszego reportera było oddać główne argumenty sporu.

Pani Kwiatkowska jest zmęczona, ale zarazem NIE JEST ZAPOMNIANA — to jest dopiero pełna prawda.

1.

Ma lat 35, jest skrecarką w Widzewskich Zakładach im 1 Maja — największej przędzalni w Polsce. Inne dane: troje dzieci, jedno w wieku przedszkolnym, dwoje starszych chodzi do szkoły powszechnej. Mąż — robotnik budowlany zarabia w sezonie 1800 zł, zimą 1200, ona teraz po podwyżce, 1700.

Mieszka od niedawna na Bałutach w 2 pokojach z kuchnią, przedtem posiadała tylko jedną izbę. Nazywa się — no powiedzmy — Kwiatkowska. Co za różnica zresztą, to co pragnę opisać dotyczy w równej mierze tysięcy kobiet zatrudnionych w łódzkich przędzalniach.

Dzisiaj jest sobota — interesuje mnie, jak pani Kwiatkowska spędziła ten dzień.

Pani Kwiatkowska nie daje się długo prosić, opowiada.

W tym tygodniu pracuję na nocną zmianę, która nam wypada co trzeci tydzień. Dzisiaj skończyłam pracę o 5.30 rano. W domu byłam dopiero na 7, bo z Widzewa na Bałuty jedzie się prze-

szło 45 minut, a ponieważ trzeba się przesiadać to należy do tego dodać jeszcze z pół godziny oczekiwania na tramwaje. Mąż już nie zastąpił w domu, bo wychodził do pracy na wpół do ósmej. Gdy tylko wróciłam musiałam zaraz odprowadzić dziecko do przedszkola (na 7.30) później trzeba było zrobić śniadanie i wyprawić starsze do szkoły. Jutro niedziela więc musiałam iść po zakupy. Od 8 do 10.30 stałam w kolejce „za mięsem”. Dzieci wracają ze szkoły o 12, więc już na pierwszą musiałam ugotować obiad. Jak dałam dzieciom jeść — trzeba było posprzątać — dwa pokoje to zawsze robota. Starsza córka poszła po synka do przedszkola, bo ja jeszcze miałam moc do zmywania. Mąż wrócił z pracy o wpół do piątej, to musiałam mu dać obiad.

Znowu zmywanie, trzeba było też coś uprać — i na ósmą już wyszłam z domu, by o 9.30 być w fabryce.

— No dobrze — ale właściwie kiedy pani spała — pytam?

Pani Kwiatkowska uśmiecha się. Dzisiaj jest sobota, nie spałam w ogóle, ale jak nie muszę iść po zakupy to

śpię od 8 do 11. Wie pan, nocna praca jest bardzo męcząca, później kobieta nie ma kiedy spać, ale moje dzieci to wołają jak pracuję na trzecią zmianę. Gdy pracuję na dzień — to nie ma się kto nimi zająć. Chodzą tak samopas...

Pani Kwiatkowska mówi mi jeszcze, że gdyby miała kogoś do dzieci, to byłoby zupełnie inaczej, ale nie stać jej na to. Ze stołówek ani ona ani mąż nie korzystają, bo i tak trzeba dla dzieci gotować.

Chciałem się jeszcze zapytać pani Kwiatkowskiej, kiedy chodzi do kina, czy czyta książki — ale nie śmiałem. Wstydzilem się.

2.

Pani Kwiatkowska co trzeci tydzień pracuje na nocną zmianę. Co trzeci tydzień jej orbanizm doznaje wstrząsu przy przechodzeniu z diennej pracy na nocną. Pani Kwiatkowska skarży się fabrycznemu lekarzowi, że po skończonym tygodniu nocnej pracy, przez trzy a na-

(Dalszy ciąg na str. 6)

— patrz strona 5

Jak sprzedaliśmy fabrykę

Hindusom



Pałac Wiatrów — Jajpur



ANKIETA o TEATRZE NOWYM

Redakcja „Odgłosów” postanowiła przeprowadzić ankietę w sprawie Teatru Nowego w Łodzi. W związku z tym zwróciliśmy się do szeregu osób z prośbą o odpowiedź na następujące pytania:

1. Czy czytał Pan zamieszczony w numerze 5 (335) „Przeglądu Kulturalnego” artykuł Jana Kotta pt. „Niespodzianka z Radziwiłłówną”, traktujący, m. in. o projekcie przeniesienia Teatru Nowego (pod dyktando Kazimierza Dejmkę) z Łodzi do Warszawy?

2. Co sądzi Pan o tym projekcie?
Jako pierwsi zabierają głos w naszej ankiecie — przewodniczący Komitetu do Spraw Radiofonii „Polskie Radio” Włodzimierz Sokorski i aktor, jeden z kierowników Teatru Dramatycznego m. st. Warszawy, Jan Świdorski.

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW” ZAMIEŚCIMY ODPOWIEDZI JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA, ROMANA SZYDŁOWSKIEGO I ADAMA HANUSZKIEWICZA.

Artykuł Jana Kotta czytałem i zgadzam się z nim. Jan Kott trafnie i głębiej uchwycił sens i odkrywczość przedstawienia „Barbary Radziwiłłówny” niż szereg innych krytyków warszawskich. I co najważniejsze, lepiej zrozumiał ciągłość linii repertuarowej Kazimierza Dejmkę.

Na drugie pytanie odpowiedzieć jest trudniej. Na pewno ranga Teatru Dejmkę predestynuje go do Warszawy. Warszawa w gruncie rzeczy nie ma odkrywczości, politycznego i nowatorskiego teatru, gdyż nawet nowoczesność Teatru Dramatycznego, moim zdaniem najlepszego teatru w Warszawie, jest stosunkowo jednostronna.

Z drugiej strony teatr Dejmkę potrzebny jest Łodzi. W sensie społecznym i artystycznym. A nawet jego rola dla kraju wielokrotnie się przez to, że Teatr Nowy żyje i pracuje w Łodzi. Zwłaszcza, że te-

lewizja może i powinna w szerszym niż dotąd zakresie udostępnić przedstawienia Dejmkę Warszawie i całemu krajowi. Dlatego głosząc za artystycznym miejscem dla Teatru Nowego w Warszawie, jestem raczej przeciwnikiem jego przeniesienia z Łodzi.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

Artykuł J. Kotta pt. „Niespodzianka z Radziwiłłówną” czytałem. Cały passus odnoszący się do sprawy przeniesienia Teatru Nowego z Łodzi do Warszawy — w moim przekonaniu, jest równie nieodpowiedzialny i niepoważny, jak cała publicystyka teatrologiczna Pana Kotta. Zdaje się, że Pan Redaktor zbyt poważnie traktuje osobę autora artykułu, skoro wspomina o „projekcie” przeniesienia teatru, tylko w oparciu o wypowiedź Pana Kotta. Nie słyszałem, aby taki projekt zrodził się gdziekolwiek indziej, poza Panem Kottem. A jeżeli to projekt wyłącznie Pana Kotta, to czy warto aż przeprowadzać ankietę?

Ja sam noszę się z projektem przeniesienia Pana Kotta na Marsa — nie sądzę jednak, żeby miał prawo zajmować cudzą uwagę moim indywidualnym pomysłem.

Pragnę mówić poważnie: Teatr Nowy jest uformowanym, żywym i twórczym organizmem artystycznym. Kierownik artystyczny Teatru Nowego, Kazimierz Dejmek, jest artystą wysokiej rangi. Sprawa przeniesienia teatru z miasta do miasta to sprawa poważna. Decydować o niej powinien najszerszy pojęty interes społeczny, nazwijmy go „dobrem naszej kultury narodowej”. Moim zdaniem, Teatr Nowy powinien mieć siedzibę tam, gdzie znajduje najbardziej sprzyjające warunki dla swego wzrostu artystycznego. Trudno o tym decydować bez Zespołu Teatru i bez wyrażonej opinii o tej sprawie — Dejmkę.

W każdym razie, gdyby miało dojść do jakiegokolwiek decyzji w sprawie przeniesienia teatru, to myślę, że powinna się ona urodzić w atmosferze pozbawionej ubocznych względów, lokalnych patriotyzmów i presji felietonistów popisujących się oryginalnością sądu.

JAN ŚWIDORSKI

JACEK LEBEN

FRANCJA PO PÓŁ ROKU

„Dwie rzeczy są pewne — od września prestiż gen. de Gaulle'a, nie wzrósł, a zaufanie do jego otoczenia ulega zmniejszeniu. W obu tych sprawach należy zachować ostrożność w ocenie. Osoba generała stoi praktycznie ponad wszelką krytykę. Nie jest on jednak już w tak dużym stopniu otoczony mitem. Wydaje się również, że wiara w cuda kończy się. Generał posiada jednak w dalszym ciągu opinię publiczną za sobą. Pogarda dla dawnych polityków oraz nowe skandale wybuchające wokół nich przyczyniają się do utrzymania generała na piedestale czystości, uczciwości i najwyższej moralności. „On w każdym razie...”

Zarzuca mu się niewątpliwie w sposób żartobliwy, że uważa się on za Joannę d'Arc czy też za Ludwika XIV. Nie żywi się jednak pretensji do niego z tego powodu, że decyduje swe otacza mgłą tajemnicy. Wprost przeciwnie, z zadowoleniem mówi się: „Przepędzono gadułów”.

(Z artykułu „France Observateur” pod charakterystycznym tytułem „Francuzi sam na sam z de Gaulle'em”).

Karykaturzyści całego świata są na pewno jednolici w swej opinii co do osoby gen. de Gaulle'a. Po prostu bardzo się cieszą, że jest on prezydentem Francji. Sylwetka generała pasuje bowiem „jak ulał” do dowcipów i karykatur. Czyż to bowiem nie radość dla karykaturzysty, jeżeli prezydent liczy blisko 2 metry wzrostu tak jak koszykarz mistrzowskiej drużyny USA? Czy radości tej nie pogłębia fakt, że prezydent posiada organ powonienia, wykraczający poza normalne proporcje jego wzrostu? A jeżeli właściwość duchowe prezenta pozwalają na porównywanie go np. z Joanną d'Arc, no to już w ogóle, jak to się popularnie u nas mówi, szal.

Dobra polityczna karykatura może niekiedy zastąpić szorstki polityczny artykuł. Ot, np. taka: wysoki, bardzo wysoki, niemal niebotyczny generał. Poniżej jego głowy długo, długo nie, ot, po prostu rozrzedzone powietrze, a tam gdzieś daleko w dole majaczy konstrukcja wieży Eiffla, jeszcze niżej dachy Paryża, a jeszcze niżej w wawozach ulic maleńkie, ruchliwe punkciki — Francuzi.



Lecz zostawmy karykaturzystów, warto natomiast poszukać odpowiedzi na pytanie zasadnicze — co zmieniło się we Francji po pół roku jego rządów?

Nielatwo jest na to pytanie odpowiedzieć. De Gaulle w każdym razie się nie zmienił. Dla milionów Francuzów pozostaje on w dalszym ciągu wielką niewiadomą, człowiekiem, którego nadal sądzą według jego intencji, a nie według jego czynów. Świadczy to zresztą raczej o niekonsekwencji niż o konsekwencji, ale nie ten problem zamierzamy przedrzeć rozpatrzyć.

Według cytowanego już artykułu z „France Observateur” aktywna w mieszczkańskich opiniach o gen. de Gaulle są następujące:

- Zapobiegł wojnie domowej.
- Trzyma w ryzach generałów i ultrasów.
- Zapewnia stabilizację rządową.
- Przywrócił pokój w Algierii.

— Ma zrozumienie istoty państwa i przyszłości Francji.

— Wyeliminował komunizm.

Wszystkie te „plusy” zawarte są więc raczej w ocenie systemu niż jego konkretnych rezultatów. Jednak niektóre z nich wydają się godne rozpatrzenia. Zacznijmy od generałów i ultrasów. Czy rzeczywiście de Gaulle trzyma ich w ryzach? Czy aby nie oni trzymają w ryzach generała? Powiedzmy więc — obie strony trzymają się w ryzach nawzajem. Zwolennicy generała mogą powiedzieć — przecież zabronił wojskowym udziału w „komitetach ocalenia publicznego”, a tym samym sparaliżował ich działalność. Ale i na to można znaleźć odpowiedź. W Algierze powstały już jawnie faszystowskie komitety „Francuska Algieria”, złożone ze skrajnie prawicowych elementów kolonialnych. To one właśnie powitały zgłębionymi pomidorami i okrzykami „śmierć ministrom i fellachom” premiera Debré.

Generałowie zaś wbrew wyraźnym intencjom i instrukcjom de Gaulle'a przeprowadził na swoją modłę pod nadzorem i naciskiem armii wybory w Algierze. Wybory, które w myśl intencji gen. de Gaulle'a miały wyłonić partnerów do rozmów, stały się zupełną fikcją. Wybrano 72 kolonialistów i kolaborantów, którzy stali się najbardziej prawicowym balastem we Francuskim Zgromadzeniu Narodowym. Generałowie więc milczą, generałowie zeszli z rzeszście oświetlonej sceny, ale zajęli bardzo dogodne pozycje za kulami i w suflerskiej bucie. Soustelle, najdłuższy i najbardziej ambulatoryjny członek gaullistowskiej ekipy również nie siedzi na świeczniku premiera. Ale leży on ponoc na to, że rozczarowanie, które ogarnie Francuzów po kilku latach rządów starego generała, rzuci ich w jego ramiona. Przyjdzie czas na demagogów — sądzi Soustelle, a wówczas, kiedy dojdzie do nieuniknionej straciny między prawicą a lewicą generałowie wyjdą z za kulis.

Pospekulujmy teraz na temat następnego problemu: stabilizacja rządowa i konkencja przyszłości Francji. Rząd jest naprawdę trwały. Ale przecież wszyscy Francuzi zdają sobie sprawę z tego, że nie o rząd chodzi w obecnym układzie sił we Francji, że punkt ciężkości tkwi w Pałacu Elizejskim, który On z reprezentacyjnego locum przemienił w sztab operacyjny. Trwałość rządu oparta jest na Jego woli, bowiem parlament, który zatwierdził ten rząd nie odzwierciedla układu sił we Francji, a prawicowa większość w parlamencie budzi niepokój wśród większości Francuzów, którzy

(Dokończono na str. 7)

Nasza szkoła LAUROWO i CIEMNO

„Odgłosy” weszły w drugi rok swego istnienia. No cóż, Bóg z nimi. Jeszcze gorsze pisma wychodzą i doczekają się nie tylko 54 numerów i nie takich jubileuszy. A mają pretensje do publikowania głosów, a nie tylko odgłosów. Mniejsza z tym.

„Odgłosy” spełniają rolę niewątpliwie pozytywną. Dają stały, spokojny chleb czterem członkom zespołu redakcyjnego, nie licząc administracji i zapomóg doradczych udzielanych osobom postronnym, acz zaprzyjaźnionym w formie honorariów autorskich. Obiecały też jednemu obywatelowi miasta Łodzi dać mieszkanie.

Nie wszystkie pisma na świecie mogą się poszczycić takimi osiągnięciami. Jeśli nawet większość z nich może, to wcale to nie pomniejsza naszych „zasług”.

Poza tym pismo ma piękny dorobek i zwłaszcza piękne plany.

Jubileuszowemu jublowi stało się więc tu żadość. Czas przejść do zwykłej, szarej codziennej, pańszczyźnianej roboty.

Tak, jak chłop młóci zboże, paniąka na poczcie stempluje znaczki, dyrygent macha pałeczką, jak dentyści boruje w zębnie, adwokat gada i gada, brukarz tłucze kamienie, krawcowa i rowerzysta pedałują, maszynistka stuką itd. — tak Belfer poszczekuje na naszych przyjaciół. Jest to zajęcie równie jak i inne niewdzięczne, a przede wszystkim śmiertelnie monotonne. Zawszec to jednak dobrze światłowac jubileusz czarna robotą.

str. 2 **odgłosy**

Moja pomoc domowa znów kupiła sobie „Słowo Powszechnie”, a był w nim felieton p. Podoskiego, opatrzone nagłówkiem „Łódź na co dzień” i tytułem głównym: „O Perzyńskim i łódzkim Parnasie”. Atakuje on artykuł Jarosława Marka Rymkiewicza z „Odgłosów”.

P. Podoski rozwija mały wachlarzyk. Jest w nim fałszerstwo, świętoszkowość, szantaż polityczny i kupa niezamierzonych komizmu, krótko mówiąc — nic powego.

Gdy Rymkiewicz składa holdy Szaniawskiemu — Podoski powiada, że Rymkiewicz atakuje świętość narodową. I cóż ma robić biedny Rymkiewicz w obliczu faktu, że moja pomoc domowa do grobowej deski będzie przekonana, iż łobuz o nazwisku Rymkiewicz atakował Szaniawskiego, a nawet poniesie tę rewelację w życie pozagrobowe? Go ma robić Rymkiewicz, kiedy redakcja „Odgłosów” nie ma zwyczaju powtórnego drukowania jego artykułów, aby każdy mógł się naocznie przekonać o fałszerstwach polemistów?

Dlaczego w Łodzi nie przyznano nagrody literackiej miastu — zadaje sobie p. Podoski pytanie — i odpowiada: Bo nie ma w Łodzi literata, którego by czytała klasa robotnicza. A nie ma takiego, bo nie piszą ci paskudnicy tego co klasa robotnicza lubi czytać. A klasa robotnicza lubi czytać wiersze o sobie i o Łodzi. Podoski np. wie, że każda łódzka robotnica lubi czytać Piechala. Cytuje:

„Przy cichym szmerze czółenek tkackich i zimnym zarzycie maszyn dziewiarskich, robotnik czy robotnica powtarzali słowa przepięknego wiersza: „Jesteś mniej niż matka, więcej niż macocha. Ta prawda dla ciebie czel mej nie umniejsza...” itd.

Postawił by takiego felietonistę na godzinę przy maszynie, żeby zobaczył, jaki to jest „cichy szmer” czółenek tkackich i jak to robotnicy zajmują się percepcowaniem poezji. Oduczylby się może tam spisywania poezji mowa nie wiazana, której to próbka była po-

wyżej zawarta. Natomiast dlaczego u diabła wplątuje p. Podoski do sprawy klasy robotniczej? Są to stare nawyki wplątywania Pana Boga we własne interesy. Proboszczunio powiada: „Panu Bogu się podobają, żebyś zapłacił pięć słów za ślub”. Ale Pan Bóg jest cierpliwy i nie sprawuje w Polsce władzy. Zaś klasa, o której mowa, jest siłą materialną i może się kiedyś zdenerwować... Zresztą mniejsza o to.

Pan Podoski np. powiada, że klasa robotnicza nie lubi „Mazowsza” i lubi „Ślask”. Bo „Mazowsze” pije szampa na, a „Ślask” je placki kartoflane. Osobiście nie lubię ani „Mazowsza” ani „Ślaska”, ani szampa, ani placków kartoflanych i mam na tym ile kłopoty z klasowym samouszufladowaniem się. Co gorsza, nie widzę różnic między „Mazowszem” i „Ślaskiem”. Mniemam, z tego co przeczytałem, że pan Podoski nie lubi szampa, a lubi placki kartoflane. Nie lubi „Mazowsza”, a lubi „Ślask”. Wolno mu. Tylko dlaczego w swoje dosyć przecie indywidualne gusta wsadza klasę robotniczą? Konieczność musi znaleźć wspólnika do spraw zgola prywatnych? Nawet intymnych...

Dalej p. Podoski orzeka, że jemu, czyli również klasie robotniczej nie podobają się wiersze Giegiera, Sikirzyckiego i Dorobę. Więcej — p. Podoski w imieniu swoim i klasy rozdziera szaty w obliczu takiego fragmentu Giegiera: „Nie zabraniaj mi uroczą panią, bo cóż jest warte nie odkryte piękno”.

Z powyższego wynika, że kolega Giegier lubi dziewiarski rozbranie, a pan Podoski ubrane. Obu im wolno mieć takie, a nie inne gusta. Z tym, że tu raczej Giegier mógłby przyznawać się do wspólnoty gustów z ludem, niż bardziej od niego perwersyjny p. Podoski. Akurat ta rzecz jest statystycznie sprawdzalna.

Stąd u p. Podoskiego wnioszek generalny: jury miało rację nie przyznając nagrody literackiej m. Łodzi albowiem Piechala już nagrodę dostał, a inni piszą wiersze o rozbranych dzie-

wczętach, których to wierszy klasa robotnicza z panem Podoskim na czele nie lubi, a więc jury usłuchało głosu ludu.

Mam lepsze niż p. Podoski o jury zdanie i mniemam że nie wieńczył ono nikogo laurem nie z powodu braku poety piszącego o ubranych dziewczętach stojących przy maszynach, albo o Łodzi jako takiej, ile może dlatego, że nie znalazło poety naprawdę dobrego, które to ostatnie kryterium ze względów rozumiałych i udokumentowanych musi być p. Podoskiemu obce.

Wszystkie te zabiegi nawiązywania spółki Podoski — klasa na kanwie wybrzydzenia się na rozbrane dziwki we fraszkach bądź wiekszych utworach wierszowanych, mogą wydawać się błahostką i śmiesznością nie warta złamanego słowa drukowanego. Można, gdyby nie to, że nie mogą.

Inne pismo z tego samego concernu prasowego WTK pisze:

„Fakt, że pisma te („Młodzież Świata” i „Sztandar Młodych” — przypisek B.) dziś w dniach wielkiej, ogólnonarodowej dyskusji nad kierunkami dalszego rozwoju naszego kraju, uparcie i hałaśliwie wysuwają na plan pierwszy problematykę skrobanek, wielożenstwa, seksu — musi budzić uzasadniony niepokój”. I dalej: „...odrywając młodzież od spraw i dla niej i dla nas rzeczywiście pierwszoplanowych — kierują ją na manowce...”

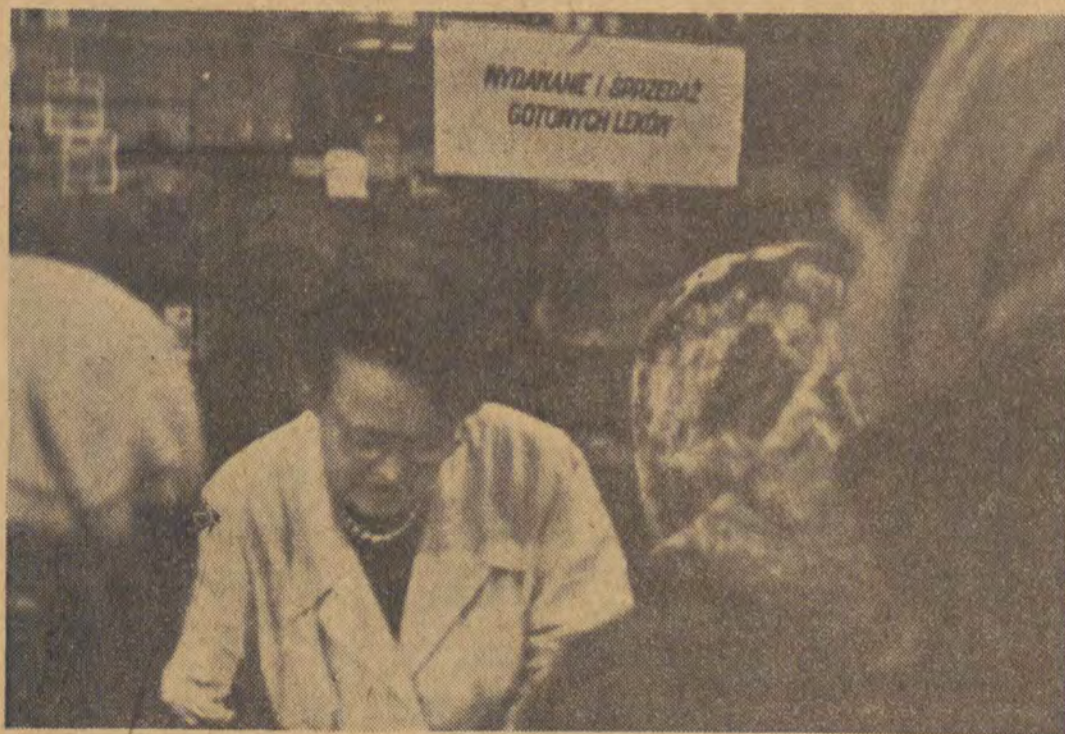
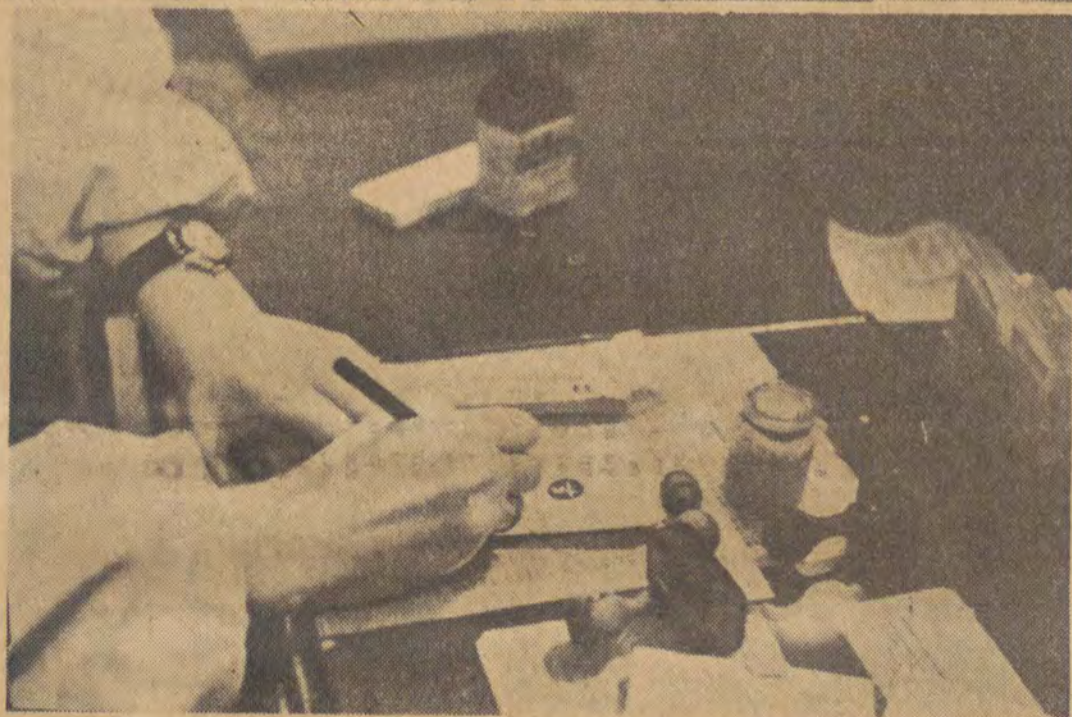
Tak więc widzimy, czy to o rzemyczek chodzi, czy o konia — p. Podoscy grają na jedną nutę. Chwytały w tej grze są wielkie słowa „klasa robotnicza”, „socjalizm”. I konstruuja podziały: Z jednej strony my, Podoscy, socjalizm, klasa robotnicza i ubrane dziwki — z drugiej dziwki rozbrane, prasa partyjna i antysocjalizm.

Czyż nie za szeroka czasem jest skala tej ofensywy, niby to tylko w imię pojęć etyczne - estetycznych podjęta?

BELFER

GRYPA

Tekst i zdjęcia WACŁAW BILIŃSKI



Lodzianie dzielą się na tych, którzy już chorowali na gripę, na takich, co właśnie chorują i tych, którzy dopiero będą chorować. Grypa zaczyna się zwykle od tego, że odwiedzamy aptekę i prosimy o dwadzieścia aspiryn. Potem lażymy z nieszczęśliwymi minami jeszcze dwa dni i wreszcie pakują nas do łóżka, bo mamy gorączkę. Lekarz konserwatysta przepisuje nam bańki, i oczywiście aspirynę. Zwolennik metod nowocześniejszych — różne leki o skomplikowanych nazwach. I też aspirynę. Na tym etapie kontakty z apteką utrzymuje nasza matka lub żona. A osoby płci słabej w ogonku w aptece przeprowadzają zazwyczaj konsultacje, jak leczyć gripę metodą owczarza z Pływi czy pustelnika z Miłosnej. Po wyzdrowieniu znów idziemy osobiście do apteki

po witaminę C, kropelki nasercowe i wzmacniające mikstury. A również po aspirynę zażywaną profilaktycznie.

Grypa jest więc w aptekach okresem szturmowym. Pani magister bywa w tym okresie przemęczona, zażywa aspirynę, ma stany podgorączkowe, wreszcie stwierdza, że recepty leczą jej z rąk i dwoją się niebezpiecznie w oczach. Wtedy schodzi z pola bitwy i trafia z gripą do łóżka. Lecz ile przedtem nasłucha się od tradycyjnie uprzejmych łodzian!

A więc mały apel! Jeśli w aptece powiedzą Wam, że mikstura będzie dopiero na jutro, przyjmijcie to spokojnie, bez odwoływania się do wypowiedzi na temat: „Po co was tu tyle?”. Pamiętajcie — farmaceuta, też człowiek!

Operacja „MERKURY” (III)

Tradycje wojenna, która dwakroć tragicznie umierała! Raz jako moralna śmierć tych, którzy tobie hołdują i drugi raz, jako zwykła śmierć fizyczna tysięcy ludzi ufnie wykonujących rozkazy twoich wyznawców! Na europejskich polach bitew II wojny umierała nie raz i nie dziesięć razy, nie raz i nie dziesięć razy odradzała się po czarnie w tępych mózgach schematycznie myślących generałów, nie zdolnych pojąć prawdy o twej śmierci zupełnej. Nie raz i nie dziesięć razy z krwią wdeptywaną w błoto gąsienicami czołgów waliły się twoje misterne zamki budowane na kruchym lodzie doświadczeń sprzed lat dwudziestu. Tradycje wojenna...

— Saloniki padły, generał...

Papagos oderwał twarz od dłoni i tępo spojrzął przed siebie. Tam we wschodniej Macedonii pięć doborowych dywizji zamknęli Niemcy w worku.

— A Thesalopoulos?

— Przebił się. Ale zostawił cały ciężki sprzęt. Zolnierze są u skrajnej wytrzymałości. Mamy meldunki o objawach... demoralizacji. Wszystkie szosy zbombardowane i pozatykane.

— Dlaczego, na miłość boską nie bronili Salonik? — było w tym jękiwym okrzyku więcej samousprawiedliwienia niż karzącego głosu naczelnego wodza.

— Czołgi weszły do Salonik szybko, niż zdolano pomyśleć o obronie. Gdzienigdzie ludność manifestacyjnie witała Niemców biorąc ich za... Anglików.

— Saloniki padły. Wycofujemy się na linię Vistricy. W Macedonii będą mie-

li możliwości manewrowe, więc musimy skrócić linię frontu do maksimum. Zanim zepchną nas do Larysy, minie pierwszy impet natarcia. Ja to znam. To jest zresztą jedyny szlak, jakim mogą zaopatrzyć armię. Swoją drogą — Compton uśmiechnął się szeroko — zacofanie gospodarcze miewa swoje dobre strony. Co by mogło być, gdyby Grecy mieli więcej niż jedną linię kolejową z północy na południe! Korpus jest świeżutki. Nie miał ani jednej walki. A Niemcy jednak trochę się o Greków poturbowali. Hisholm meldował, że w przełęczy Rupel stracili ponad 100 czołgów...

— Nawet jeżeli rzeczywiście tyle stracili, to to i tak nie sięga 10 procent sił pancernych Lista...

— Nie przesadzajmy! Poza tym takie straty reflektują. Rozumie pan. Reflektują! List musi się teraz liczyć z ewentualnością znaczących strat przy starciu z korpusem, gdzie ilość środków przeciwpancernych jest większa niż w całej armii greckiej! To jest taki psychologiczny motyw. Rozumie pan. Samoosłabianie siły uderzeniowej wskutek obawy zwiększenia ryzyka. Ja to znam. A co było w Libii z Włochami? No widzi pan!

Papierki szeleszczą na biurku generała. Niestarannie, w pośpiechu naklejone paski taśmy telegraficznej zachcają o siebie, rwą się. Raport Miliona. W porządku. „Cała siła lotnicza korpusu operowała nad Sofią. Dworzec zniszczony kompletnie. Przerwy w ruchu oceniam się na 48 godzin”. Powtórzycie bombardowanie — generał starannie wpisuje dyspozycje, żeby nie było wątpliwości.

— Halo Compton! Co jest z tym manewrem na Skopje?

— Jakkolwiek oceniać będziemy tę operację, nasze obecne decyzje uprzedzają jej skutki. Linia Vistricy zwrócona jest frontem do Bramy Monastyrskiej. — Compton uśmiechnął się — Embarras de richesse* — Niemcom szybciej poszło z Salonikami, niż przypuszczali. Ten manewr był potrzebny, aby nas nastraszyć. Sądzę, że wobec aktualnego rozwoju sytuacji, zaniechają go. Zaopatrzenie przez całą Serbię — nonsens!

— Tak czy inaczej trzeba spod Floriny wycofać brygadę osłonową. I czołgi. Mieliby poważne trudności komunikacyjne z korpusem.

— Halo Emden! Tu Bremen! Wchodzimy do Prilepu...

— Halo Emden! Minęliśmy Monastyr...

— Halo Emden! Pierwszy kontakt z nieprzyjacielem. Słaby opór. Zbliżamy się do Floriny...

Szosa pod Kjustendil zapchana ciężarówkami. Płaskonosie „renaulty”, „obleblitizy”, smudki 3-tonowe „mamy”. Ruch jak w mrowisku. Kolumny na zachód, kolumny na wschód, kolumny na południe, kolumny na północ... Załadunek odbywa się niemal w locie. Nie ma czasu. Czas — to szybkość. Szybkość — to zwycięstwo. Słeg heil! — niech żyje zwycięstwo...

— Co jest do stu piorunów z tymi ciężarówkami? — pułkownik Grünberg ścisła słuchawkę telefoniczną i wyciera perłace się potem czoło. — Co? Mówiłem, psia krew, że wydłużają mi się linie komunikacyjne! Ile? Minimum dwa tysiące! Co?

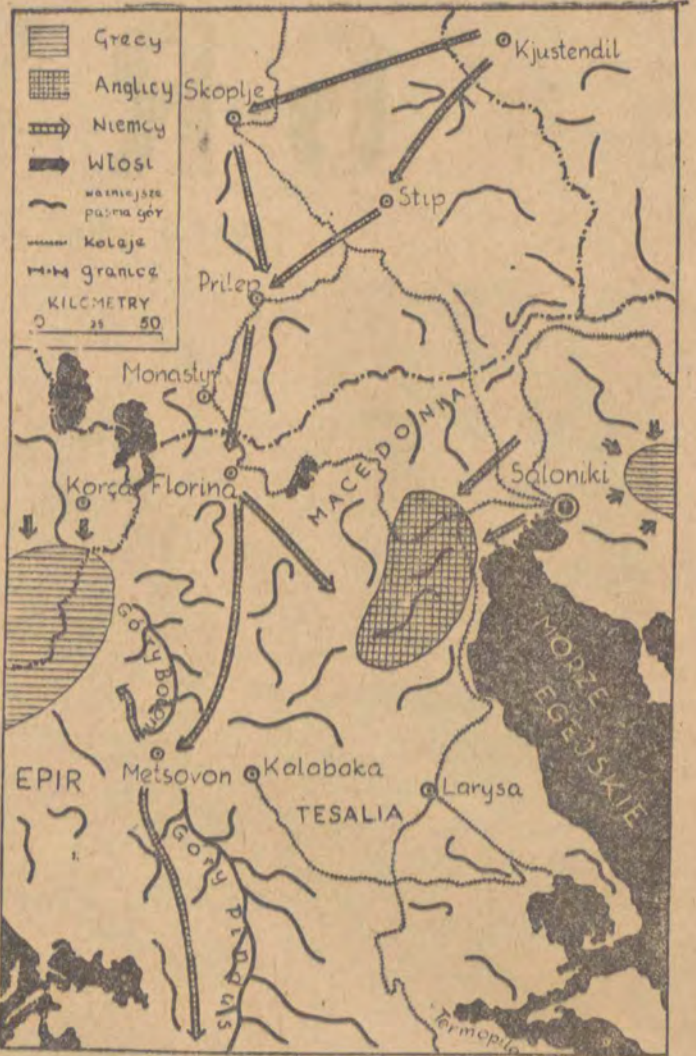
Jakie zaskoczenie?! Normalnie przewidywałem, że od dnia X+2 musi wejść do transportu dodatkowy tonaż, po 300 ciężarówek dziennie. Sprawdzicie raporty! Wysyłajcie?... Dobrze, tylko szybko!

Feldmarszałek List spokojnie przeżuwa szpic cienkiej trzciny po wielkiej mapie sztabowej.

— Osłabiamy natarcie z kierunku Salonik. Wszystko wskazuje na to, że ryba polknęła haczyk. Wilson przegrupowuje się i całkiem poważnie zamierza osłabić drogę na Peloponez przez Termopile. Czyn Leonidas z trzystu hoplitami widać mocno utkwili mu w pamięci. Jeszcze raz Termopile, to nie było jaka szansa historyczna... Ale Kserkses, choć wziął Termopile, szybciej został zapomniany niż niefortunny obrońca. Po cóż więc mamy sięgać po zapomnianą sławę Kserksesa, jeżeli możemy pójść inną drogą. Decyduję szczególnie wzmocnić natarcie na kierunku Florina — Metsovon. Tam pójdą wszystkie posiłki. Pańska dywizja, pułkownik Straus, wyjdzie jeszcze dziś przez Stip. W Epirze jest 14 dywizji greckich. Jak najszybciej musimy tę armię wziąć w zupełne okrążenie. Jeżeli Papagos zdołałby skoncentrować na Peloponezie poważniejsze siły, to może nam mocno skomplikować dalsze plany. Czy wszystko jest jasne? Pytania?

— Jak z zaopatrzeniem? To są przecież bezdroża...

— Motoryzacja wzięła to na siebie i można polegać. W każdym razie z transportem kolejowym zrywamy tu zupełnie Pomijam, że na dobrą sprawę nie ma kłórdzy. Ciężarówki są przede wszystkim bezpieczniejsze. Wczoraj Anglicy jak wściekli



Rozwój sytuacji w Grecji od 8 do 19 kwietnia 1941 r. to jest do kapitulacji armii Epiru. W dniu 19 kwietnia korpus angielski zajmował pozycje w Przełęczy Termopilejskiej. Na mapę naniesiono tylko miejscowości omawiane w tekście. Prosimy zachować mapę do następnego odcinka.

bombardowali dworzec w Sofii, a tam było tylko kilka cystem...

Nielsa odrzucił nieprzyjaciela. O tym było już meldowane.

— Wycofujemy się na Przełęcz Termopilejską. Proszę wydać odpowiednie zarządzenia.

Tak się przegrywa wojnę... (d. c. n.)

* — kłopotliwy nadmiar sprzyjających okoliczności (franc.).

EDWARD-EMSKI

Pustynne szczyury



— Schiafoni zabity? — Tak. Seria z pistoletu maszynowego. Czekałem. Zostałbym dłuższy, żeby przekonać się naocznie. Ale musiałem jechać do ciebie — trzeba coś zrobić z zawiadomieniem Kairu. Czy mamy jakieś możliwości?

— Teraz żadnych. Anglika wzięli. On miał łączność z Dowódcą Środkowego Wschodu i komunikowaliśmy się oficjalnie przez niego. Nasza placówka w Kairze nie wchodzi w rachubę, to oni właśnie prosili o zawiadomienie Dowódcy. Innej bezpośredniej

drogi nie mamy. Słyszałem, że jest tu placówka polska, utrzymująca łączność z krajem, oni muszą oczywiście mieć połączenie z Kairem. Ale jak do nich dotrzeć? Są świetnie zakonserwowani, lepiej od nas. — Placówka polska, mówisz? Nie wiedziałem o tym.

Znam tu jednego Polaka, może by z nim porozmawiać? Jeżeli nawet nie jest jednym z nich, na pewno nas nie wyspie, za to ręczę. Znam go dobrze.

— Nigdy nie można mieć pewności. Za duże ponieśliśmy straty, żeby jeszcze ryzykować dalsze.

— On jest pewny, mówię ci. To lekarz. Pamiętasz, kiedy Gino dostał kulę w brzuch i operacja odbyła się u mnie w kuchni? To on go właśnie operował. Potem robił mu wszystkie opatrunki. Chłopak wytrzymał się dzięki niemu, historia była właściwie beznadziejna. Doktor nas nie zdradzi, ręczę.

— Jeżeli tak, to próbuj. Nie gadaj tylko zbyt wiele. Zadanych szczegółów. Przypadkiem dostała się w moje posiadanie kartka z takim to a takim tekstem. Nie wiesz, co z tym zrobić. Wychodząc, zostawisz kartkę przez zapomnienie u doktora. A zgłosisz się do niego na badanie. Kaszlesz ostatnio i nie podoba ci się to, prosisz o jakieś lekarstwo.

— Wolabym opowiedzieć mu wszystko. Ale masz może rację.

— Nadal nie, panie pułkowniku. Rozesłałmy patroli po mieście. W kilku mieszkaniach przeprowadziliśmy rewizje. Wszystko bez skutku. Polak wsiadł jak woda w piasek. Za pół godziny złożę następny meldunek

— Marku, zrzekaj jeszcze trochę. Jest dopiero wpół do siódmej. Władomość musiała już dotrzeć do Dowódcy, twój przyjaciele są już w drodze, lada chwila się zjawia. Błagam, jeszcze pół godziny. Chodź, spróbujemy nawiązać łączność z Rzymem, może się zgłoszą, powiedzą, że wiadomość przekazali. No, proszę, tak bardzo, tylko pół godziny, to tak niewiele... — Nie mogę, Cino. Zbyt wiele już było tych pół godzin. Dotychczas i ja ludziem się, że Rzym nam pomoże, zapomniałem, że pomóc można sobie tylko samentu. Jestem zresztą przekonany, że wszystko pójdzie jak z płatka. Zobacysz. Zapraszam cię na kolację do Ambassador. Punkt ósma, dobrze? Pełna gala, gołe plecy etc-etera. Mami straszna ochotę potańczyć z tobą.

— Marku! — A cokolwiek się stanie, pamiętaj: za przywilej spotkania ciebie żadna cena nie jest zbyt wysoka...

Na huk wyrzwał samochód patroli żandarmierli zatrzymał się gwałtownie. Sześć strzałów bezpośrednio jeden po drugim.

Gruby kaliber — myślał dowódca patroli wyskakując z wozu — chyba 55, Smith-Weeson. Zdaje się, że tylko Pola-

cy mają je broń. Teraz ładujcie... no tak...

Sześć dalszych wyrzwał jeden po drugim. Cisza. Słychać tylko tupot podkutych butów żandarmów biegnących do drzwi wili. A teraz znów strzały, ale to już inny kaliber, mniejszy, o większej szybkości początkowej. Znowu odzywa się 55, raz, drugi, potem jeszcze raz.

Pod naporem krzepkich ramion drzwi wejściowe ustępują. Żandarmów wita strzały, odzywają się ich Webleye. Strzelanina trwa krótko. Po paru minutach do samochodu wsiada trzech mężczyzn z kufkami na przegubach rąk. Żandarmi niosą ostrożnie dwóch dalszych — jednego w ubraniu cywilnym, drugiego w mundurze.

— Dobrze go naszkikowali — mówi dowódca patroli do agenta polskiej bezpieczeństwa — zdaje się, że coś mówi?

— Po francusku: Ambasadorowie... pełna gala? To nie ma żadnego sensu. Bredzi.

Z okna pierwszego piętra scenę na ulicy śledzą przerażone oczy kobiety. Z okna drugiego piętra zimne spojrzenie starszego, wypielegnanego mężczyzny.

— Rozumiem, pułkowniku. Zrobie, co w mojej mocy. Ale stan jest ciężki. Wprowadzie

(Ciąg dalszy na str. 9)



Ulica w Jajpurze

HALINA ŻYŻKA

JAK SPRZEDALIŚMY FABRYKĘ HINDUSOM

Rozmawiam z inż. Jerzym Żyżką, który niedawno powrócił z Bombaju, gdzie pełnił funkcję delegata technicznego Centrali Handlu Zagranicznego — „Cekop” i równocześnie przedstawiciela Przedsiębiorstwa Projektowania i Budowy Zakładów Przemysłu Metalowego i Elektrotechnicznego — „Prozamet”. Wraz z delegatem handlowym Zdzisławem Gluteckim podpisał on z ramienia „Cekopu” kontrakt na dostawę kompletnej fabryki liczników elektrycznych. (Rozmowa jest moim bratem. Śląd nieco natrętny charakter pytań. W ramach rodzinnych kontaktów — trudno się od nich wykręcić).

— Wytłumacz proszę, Czytelnikom co to znaczy, że sprzedaliśmy Indiom fabrykę. Ostatnio często się słyszy o pertraktacjach na temat dostawy kompletnej obiektów przemysłowych: ko munięty PAP są — jak wiesz — dość lakoniczne. Na czym więc polega sprzedaż takiej fabryki liczników?

— Sprzedaż to raczej nieścisłe powiedziane. Podpisany został mianowicie kontrakt między Electro Equipments Corporation Private Limited a Centralą Handlu Zagranicznego „Cekop” na dostawę kompletnej fabryki liczników elektrycznych w Bombaju.

Proszę o to jego kopia:

(Siedemdziesiąt stron angielskiego tekstu. Kilkanaście tablic harmonogramów. Ufff! Błagalne spojrzenie na rozmówcę).

— Na czym polega ten kontrakt?

— Będziemy dostarczać kompletne wyposażenie w maszyny i urządzenia oraz oprzyrządowanie. Dotyczy to określonej wielkości produkcji: a więc 60000 sztuk liczników jednofazowych, na 1 zmianę rocznie. Projekt, opracowany przez „Prozamet” zakłada możliwość zwiększenia produkcji fabryki do 180.000 liczników rocznie na 2 zmiany.

— Jednofazowy, a więc do użytku domowego.

— Tak. Jest to licznik typu A-3 produkowany u nas przez Zakłady Wytwórcze Aparatury Precyzyjnej w Swidnicy. W kontrakcie przewiduje się dostawę i sprzedaż pełnej dokumentacji licencyjnej licznika oraz dokumentację projektową obiektu fabrycznego.

— Te elementy kontraktu stanowią sprzedaż typu technicznej — jak to się popularnie mówi.

— Tak, ale nie tylko to. Umowa obejmuje także nad-

zór naszych inżynierów nad montażem maszyn i urządzeń, oraz pomoc przy uruchomieniu poszczególnych oddziałów fabryki.

— Pisałeś, że Hindusi przyjadą do Polski na przeszkolenie.

— Ten moment również ujęto w kontrakcie. Do ZWAP w Swidnicy przybędzie ekipa inżynierów i majstrów, aby zapoznać się z metodami i przebiegiem produkcji licznika. Umowa obejmuje także dostawę części do montażu liczników w okresie rozruchu fabryki.

Najogólniej mówiąc to wszystko co można odpowiedzieć na twoje pierwsze pytanie.

— Dziękuję uprzejmie. Po wiedz jednak jeszcze proszę, jak to wszystko zostanie zsynchronizowane: dostawy, wyposażenie, rozruch, budowa fabryki. Ile to czasu potrwa? Czy my zajmujemy się transportem do samego Bombaju?

— Umowa przewiduje dostawę FOB, a więc do portu polskiego. Dostawy i uruchomienie fabryki będą trwały łącznie, ogólnie biorąc 28 miesięcy. Budynki zaprojektuje i wykona hinduska firma architektoniczno-budowlana według założeń opracowanych przez nasze przedsiębiorstwo „Prozamet”. Wszystko to zostało oczywiście zsynchronizowane w czasie. Dostawy podzielono na etapy. Następować one będą sukcesywnie. Uwzględniono tu stopniowe uzyskiwanie efektów ekonomicznych i możliwości szkolenia załogi. Spójrz na harmonogram. Wszystko rozpocznie się w miesiącu „X”.

— Przepraszam, ale nie jestem detektywem i nie myślę dochodzić drogą dedukcji, co to jest miesiąc „X”.

— Gdy przemysłowiec hinduski przedstawi kopię licencji importowej i wpiaci



Amber Palace — Jajpur.



zaliczkę w wysokości 10% wartości transakcji to nastąpi wtedy miesiąc „X”, czyli początek pierwszego etapu dostaw.

— Czy zechciałbyś teraz coś powiedzieć od strony kuchni. Jak w ogóle dochodzi do tego rodzaju transakcji. Wszyscy wiedzą, że mamy umowę handlową z Indiami. Raczej powiedz, dlaczego zdecydował się on na umowę właśnie z Polską? Fabryka liczników to będą pierwszy kompletny obiekt przemysłu elektrotechnicznego sprzedany za granicę.

— Tak. To pierwsza tego rodzaju fabryka. Po kolei więc. Otóż polskie liczniki zyskały uznanie fachowców hinduskich. Produkcja liczników jest tam znana. Wielkość jej jednak tylko w nieznacznym stopniu pokrywa potrzeby. Polski licznik oceniono jako łatwy do montażu, mający prostą nowoczesną konstrukcję. Naszym oficjalnym kontrahentem jest firma o długiej nazwie. Podalem ją na początku. Jej dyrektorem pan S. L.

Khemka. Utrzymuje on od dawna kontakty handlowe z Polską. Jest on bowiem równocześnie dyrektorem firmy agencyjno-handlowej pod nazwą Khemka and Co (Agencies) Pvt. Ltd. Bywa na Targach Poznańskich. Zwiędzał również Zakłady w Swidnicy.

— Co widać na załączonym obrazku?

— Raczej na tablicy, bo pod tablicą oznaczającą działkę przyszej fabryki liczników stoi doradca pana Khemki inż. Mehta — wybitny fachowiec w dziedzinie produkcji liczników oraz inż. architekt Mhatre. Doskonałym doradcą ekonomicznym naszego kontrahenta był dr Mulherkar.

— Prywatny przemysł w Indiach kontrolowany jest przez państwo. Jak to wygląda w odniesieniu do kontraktu na dostawę fabryki?

— Przemysłowiec musi uzyskać licencję importową od głównego Kontrolera Im-

TADEUSZ PAPIER

„Uciekła mi przepióreczka”

W teatrze Jaracza grają „Przepióreczkę” Żeromskiego. Trzydzieści trzy lata temu wystawił ją po raz pierwszy Osterwa. Od tamtego czasu upłynęły wieki.

Sztuka jest wieloznaczna i pozwala na kilka tłumaczeń. Żeromski nazwał ją komedią. Karol Borowski zdecydował się na podkreślenie elementów komediowych. Profesor Kott, kierownik literacki teatru, również radził: wydobyć to, co w sztuce na pewno jest komedia. Aktorzy, owi „żywi kronikarze czasu”, rzecz poparli.

I oto oglądamy na scenie komedię o cierpieniach młodej nauczycielki i wybitnego docenta fizyki Przełęckiego. Nie chcę mówić na ile ów judymowski konflikt jest dzisiaj zwietrzały i nieaktualny. Dlaczego to nie można pogodzić obowiązku ze szczęściem osobistym? Ale w tej sztuce rzecz tylko pozornie rozgrywa się pod symboliczną rozdartą osłoną. Przełęcki przeżywa sytuację bardziej skomplikowaną — a z drugiej strony bardziej prostą aniżeli Judym. Kobieta, którą pokochał, ma męża i dziecko. Historia nie nowa, ale w tym wypadku zasadnicza. Konflikt rozgrywany jest w kategoriach realistycznych. Przełęcki poświęca kobietę, ale też poświęca swoją ambicję, swoje plany. Nie zdradza jednak idei. Pozostawia na posterunku swojego zastępcę: co prawda zaledwie kaprala, ale ów kapral wszystkimi siłami będzie pilnował, aby dzieło Przełęckiego nie upadło. Mniejsza o to czy Smugon wypełni ten ustny testament, czy też nie. Fakt pozostaje faktem, Przełęcki rozwiązał przede wszystkim dramat swojego serca. Zagrał prawdziwie po judymowski, tylko z jeszcze większym ładunkiem tragicznego gestu.

W każdym razie, cała, bardzo wąta akcja poruszana jest motywem judymowskim. W pierwszym akcie dowiadujemy się o darowiźnie księżniczki. Nie się właściwie nie dzieje. Przepraszam: Urszula Modrzyńska robi trzy kroki na wiadomość, że właścicielem zamku został Przełęcki — i to jest jedyny ślad, że „coś się dzieje”. W akcie drugim następują dramatyczne wydarzenia. W tymże akcie rysuje się już z rozmachem nakreślony dramat trojga ludzi. Ten akt i następny w którym Przełęcki „bierze na siebie krzyż upodlenia”, mają wyrównać niedostatki aktu pierwszego.

Ale „Przepióreczka” jest komedią. Trzeba więc z niej wydobywać to, co nią jest. Lecz gdzie tu szukać komedii? Borowski posiłkuje się czasem chwytami prawie farsowymi. Postanowił przede wszystkim odmłodzić księżniczkę. Ale to jest bardzo trudna sprawa. Nie z odmłodzeniem, a z materią sztuki. W tym miejscu zaczynają się zasadnicze kłopoty. Smugon jest potraktowany realistycznie. Jego żona, która „rośnie i dojrzewa ze sceny na scenę” — również. W rysunku tej wiejskiej pary nauczycieli nie ma fałszów psychologicznych. Niepokój zaczyna się z chwilą, kiedy towarzystwo na scenie się powiększa. Bardzo przepraszam wykonawców. Nie wystawiam cenzurek za gre. Chodzi mi o koncepcję poszczególnych postaci, o skłócenie odbioru, które powstaje na skutek usilnego wydobywania tego, „co w sztuce na pewno jest komedią”. Łatwo wzbudzić śmiech na

sali nerwowym tikiem głowy lub „lwowskim” akcentem. Komiczne efekty daje grono profesorów, dziwaków, wywodzących się z anegdoty. Lecz w tym podkreśleniu elementów farsowych kryje się niebezpieczeństwo. Nie tylko zresztą kryje się, ujawnia się ono wówczas, gdy na scenie zaczyna się mówić o poważnych ludzkich konfliktach czy nawet dramatach. Stwarza to szczególne trudności dla aktorów grających rolę Przełęckiego i księżniczki.

Otóż to: księżniczka, tym razem młoda, ma trudną rolę. Koncepcja „amazonki” nie znajduje wyraźniejszego poparcia w tekście. Trudną rolę ma również Niewczas-Przełęcki. W pierwszym akcie czyni wrażenie, że go ta cała impreza bawi. Na początku aktu drugiego jego zachowanie ma również coś z farsy. Wszystko wskazuje na to, że dopiero pod wpływem wyznania Smugoniowej budzi się w nim zainteresowanie do uroczej nauczycielki. A jakże: Smugoniowa — Modrzyńska ma swój urok, niesposób się jej oprzeć. Z kłopot Przełęckiego — Niewczas wyznaje, że pokochał Smugoniową „od pierwszego wejścia”, to znaczy rok temu. Widz nie wierzy temu: bujać sobie zdrow! Maska, którą sobie nałożył Przełęcki w I akcie, nie tak łatwo przesuwa nowe wrażenia. I teraz, kiedy Przełęcki zmagają się z sobą i gra wobec audytorium profesorów rolę niepoważnego „fircyka” (tylko Smugon i jeden z profesorów znają „mękę jego duszy”) — musi walczyć ze sobą, prawie improwizować (Niewczas to czyni śmiało i swobodnie) ażeby publiczność zapomniała o pierwszym akcie, w którym Przełęcki był ironiczny i z „innego świata”.

A inne osoby? Właśnie, w tym sekw. Grają dobrze — ale żywi są wyłącznie ci z trójką małżeńską. Inni w tym układzie zastąpić muszą opis i dywagacje odautorskie, poza tym robią jeszcze „komedię”.

Konwencja sceniczna? Ibsenowskie „cztery ściany” mają skupić uwagę na rozgrywającym się dramacie. Sala wiejskiej szkółki z portretem Kościuszki i słończnikami za oknem, nie rozprasza uwagi. Tylko w takiej ciasnej salce szkolnej można było skupić uwagę na dramacie Przełęckiego i Smugoniowej. Nastrój podkreślają czarne ławki, Kościuszko. A gdyby się tak pokusić o rewolucjonizowanie tej konwencji i dramat psychologiczny rozegrać na innej nie starożytnej, lecz awangardowej scenie? A gdyby tak bardziej współcześnie odczytać „Przepióreczkę”?



Państwowy Teatr im. Stefana Jaracza. Stefan Żeromski — Uciekła mi przepióreczka... Reżyseria: — Karol Borowski, Kostiumy i dekoracje: Mieczysław Wiśniewski.

odgłosy 5 str.



Foto Eugeniusz Kudań

wet i cztery noce nie może zasnąć. Lekarz rozkłada ramiona — na to nie ma lekarstwa.

Pani Kwiatkowska kinie więc na nocną zmianę, mówi, że te noce zżarły jej zdrowie, jak przyszła do fabryki to ważyła 75 kg a teraz tylko 58.

I może nie wie nawet, że jej sprawa stała się przyczyną sporu między Łódzką Komisją Planowania Gospodarczego a Centralnym Zarządem Przemysłu Bawełnianego, działającym oczywiście w imieniu całego resortu Ministerstwa Przemysłu Lekkiego.

Problem pani Kwiatkowskiej dotyczy około 20.000 kobiet w łódzkim włókiennictwie — stąd też nie dziwnego, że stanął — jak to się mówi — w centrum dyskusji.

Reporter sumiennie odwiedza poszczególnych dyskutantów. Zaczyna od Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego — 20 jej pracowników w 5 małych pokojach dało powód do sporu. Wszystko bowiem poszło o niewielką broszurkę nazpikowaną gęsto cyframi o nieatrakcyjnym tytule: „Wskaźniki rozwoju Łodzi w planie perspektywicznym”.

Reporter ma chroniczny wstręt do cyfr, tę broszurkę czytał jednak jak pasjonującą lekturę. Wynikało z niej bowiem, że są możliwości rozwiązania problemu p. Kwiatkowskiej.

MKPG przewiduje likwidację trzeciej zmiany, a więc nocnej pracy kobiet do roku 1975.

I trzeba tu powiedzieć, że sprawa trzeciej zmiany dla MKPG jest tylko wypadkową znacznie szerszego problemu: zmiany struktury przemysłowej Łodzi.

Na 171 przedsiębiorstw przemysłu kluczowego w Łodzi, 83 to zakłady włókiennicze. Jeszcze lepiej zobaczymy dominującą rolę przemysłu włókienniczego w Łodzi, gdy porównamy liczbę ogółu zatrudnionych w przemyśle kluczowym z liczbą pracowników przemysłu włókienniczego. W roku 1957 73,7% ogółu zatrudnionych

w Łodzi stanowili właśnie robotnicy przemysłu włókienniczego.

Kiedy w 1823 roku Ludwik Geyer założył pierwszą w Łodzi drukarnię kretonów bawełnianych — w małej osadzie nad Łódką były doskonałe warunki dla rozwoju przemysłu włókienniczego. Łódź leżała w połowie drogi między dwoma miastami gubernialnymi — Piotrkowem a Warszawą, a wspomniana już Łódka oraz płynąca na północ osady rzeczka Jasiień zapewniała wodę dla nowopowstającego przemysłu.

Dzisiaj natomiast sytuacja wygląda wręcz przeciwnie — pomijając już, że Łódź leży na uboczu od głównych szlaków komunikacyjnych, to miasto cierpi na dotkliwy brak wody.

Dlatego też MKPG planuje ograniczenie w latach 1959—65 rozwoju przemysłu włókienniczego w Łodzi, zwłaszcza jego wodochłonnych gałęzi — bawełny i wełny. Natomiast przewiduje się rozbudowę przemysłu metalowego, maszynowego, energetycznego i chemicznego.

Dla przykładu kilka cyfr. Dane MKPG przewidują że o ile w roku 1957 we włókiennictwie pracowało 129.717 osób to w roku 1965 cyfra ta zmaleje do 128.305 osób. Natomiast, o ile w przemyśle metalowym w 1957 r. było zatrudnionych 19.440 osób, to na rok 1965 przewiduje się wzrost do poziomu 26.016 osób.

Ojcowie miasta, ściślej mówiąc ich planiści, zamierzają zmienić strukturę przemysłową Łodzi nie tylko ze względu na brak wody w mieście. To raczej tylko argument w tym sporze. Krótko mówiąc chodzi tu o podniesienie standardu życiowego ludności miasta.

W tabeli plac w przemyśle państwowym według rocznika statystycznego na rok 1958 przemysł włókienniczy i odzieżowy znajdują się na ostatnim miejscu pod względem wysokości plac. Według tego samego źródła w Warszawie i w woj. katowickim największą grupę wśród pracowników fizycznych stanowią robotnicy zarabiają-

SPÓR O TRZECIĄ ZMIANĘ

* Dokończenie *

cy od 1500 do 2000 złotych, w woj. wrocławskim od 1200 do 1500 zł., natomiast w Łodzi od 1000 do 1200 zł.

Tego rodzaju struktura plac w przemyśle włókienniczym wpływa w głównej mierze z niskiej wydajności pracy, co z kolei ma swe źródło w przestarzałym parku maszynowym.

I tak np. 80% krosien w łódzkich fabrykach pochodzi sprzed roku 1920, 50% maszyn pochodzi sprzed 1900 r. — a w ogóle według instytutów naukowych 60% maszyn włókiennictwa łódzkiego należy wycofać.

To wszystko sprawia właśnie, że w Łodzi jest maksymalnie duże zatrudnienie. O ile na Śląsku na rodzinę przypada 1,2 osoby pracujące, to w Łodzi w jednej rodzinie pracują 2 osoby.

W ten sposób znowu doszliśmy do problemu p. Kwiatkowskiej, a więc kobiet, które nie mają czasu, by zająć się dziećmi.

W Łodzi 55% ogółu zatrudnionych w przemyśle stanowią kobiety, podczas gdy w Warszawie 35,6% a na Rzeszowszczyźnie już tylko 21%. Plany MKPG zakładają że w roku 1975 produktywizacja kobiet spadłaby do poziomu 40% ogółu zatrudnionych. Wyższe zarobki mężczyzn w przemyśle metalowym czy maszynowym pozwoliłyby części kobiet pozostać w domu.

Te piękne plany zmiany struktury przemysłowej w

Łodzi, a jednocześnie podniesienia standardu życiowego ludności łączą się nierozdzielnie z likwidacją trzeciej zmiany w przemyśle włókienniczym. W Łodzi daje się bowiem odczuć katastrofalny brak siły roboczej. Szereg fabryk łódzkich codziennie musi dowozić robotników do pracy ciężarówkami, czasami nawet z tak odległych miejscowości jak Rawa Mazowiecka. Proces ten będzie się coraz bardziej pogłębiał, gdyż od 1956 r. przyrost naturalny w Łodzi wykazuje tendencję zniżkową, co związane jest ze spadkiem ilości kobiet w wieku płodności. Już w tej chwili w Łodzi 8% zatrudnionych znajduje się w wieku poza zdolnością produkcyjną, a w latach 1959—65 liczba ta wzrosnie jeszcze o 30%.

Tak więc jedyną rezerwą dla rozbudowy w Łodzi przemysłu metalowego, maszynowego czy chemicznego jest właśnie 20-tysięczna rzesza robotników trzeciej zmiany przemysłu włókienniczego.

I tu dochodzimy wreszcie do istoty wspomnianego już sporu między MKPG a resortem MPL. Cyfrowo można ten spór przedstawić w sposób następujący: w roku 1975 MKPG przewiduje zatrudnienie w łódzkim przemyśle włókienniczym 112.700 robotników a resort MPL 130.500. Różnica między tymi dwiema cyframi to właśnie trzecia zmiana.

3. Reporter nie jest co prawda królem Salomonem, tym niemniej jednak pragnie wysłuchać i drugiej strony. Dlatego też znalazł się na 11 piętrze łódzkiego wieżowca, w gabinecie dyrektora CZ przemysłu bawełnianego tow. Kuboszka.

Dyr. Kuboszek od razu się „przynajmniej”: Tak, chcemy utrzymać dotychczasowy współczynnik zmianowości, 2,65 to znaczy pełne dwie zmiany i 65% załogi na trzeciej zmianie.

Zaczynam więc mówić o swoich spostrzeżeniach w tramwaju, o problemie p. Kwiatkowskiej, i wreszcie o czym się dowiedziałem w MKPG.

Dyr. Kuboszek spokojnie słuchał moich reporterskich spostrzeżeń, nawet przytakiwał, natomiast gdy padło słowo „MKPG” wyraźnie się zdenerwował.

— Towarzyszu, ci ludzie chodzą po niebie zamlast po ziemi. To są utopiści, których plany tylko dezorganizują produkcję włókienniczą w Łodzi. Ich nowe gałęzie przemysłu odciągają nam ludzi od bawełny... A to nie są przelewki. Łódź daje krajowi 50% całej towarowej produkcji włókienniczej. Mówmy śmiało o trzeciej zmianie. Nasza argumentacja jest prosta.

Likwidacja trzeciej zmiany oznacza jednocześnie zmniejszenie produkcji o jedną trzecią. To bardzo prosty rachunek. My w tej chwili nie mamy jeszcze na rynku nadmiaru artykułów włókienniczych, a co by było dopiero gdyby tak zmniejszyć produkcję o jedną trzecią! Prowadzi to oczywiście do dewaluacji złotówki i rykoszetem odbiłoby się na sanych robotnikach.

Rzucam naiwne pytanie: A gdyby tak ten brak wyrównać importem?

Dyr. Kuboszek się śmieje: Jeden metr importowanej tkaniny kosztuje nas od 40 do 50 centów. A za 50 centów możemy sprowadzić kilogram surowca, z którego wyrobimy 6 do 7 m tkaniny.

Nie, ten ubytek produkcji można by wyrównać tylko poprzez nowe nakłady inwestycyjne. Ale to jest sprawa 2,5 miliarda zł w dewizach bez produktywnego wydatku. Kto wam da dzisiaj w Polsce 2,5 miliarda zł.?

Milczę zgnębiony — ogrom sumy przeraził mnie. Dyr. Kuboszek tłumaczy mi dalej.

— Aby wyrównać ubytek produkcji po likwidacji trzeciej zmiany w samym przedsiębiorstwie, należałoby wybudować 12 nowych przedsiębiorstw, przeciętnie każda po 50 tys. wrzecion. A jedna taka przedsiębiorstwa kosztuje 200 milionów zł — podsumujcie to sobie, proszę was bardzo...

Próbuję szermować argumentami, zasłyszany w MKPG — oczywiście tylko natury ekonomicznej, bo w tym pokoju liczą się głównie cyfry.

Dyr. Kuboszek po kolei jednak je zbija.

— Niska wydajność w nocy?

Rzeczywiście, w nocy robotnica jest bardziej zmęczona i my sami zakładamy, że jej wydajność jest o 5% niższa. W praktyce jednak wydajność w pracy nocnej jest taka sama jak i dziennej. W nocy jest znacznie lepsze napięcie prądu i nie mamy wobec tego spadków obrotów na wrzecionach, co wyrównuje gorszą pracę przedkii.

— Rabunkowa gospodarka parkiem maszynowym?

— To bzdura z punktu widzenia ekonomiki. Po prostu zużywamy o jedną trzecią więcej części zamiennych i to się oczywiście oplaca.

— Brak wody w Łodzi?

— To jest rzeczywiście problem. Ale propozycje MKPG przewidują przecież rozbudowę przemysłu chemicznego, który tak samo potrzebuje wody. Jeden kg tworzywa sztucznego wymaga tony wody — to jest więc z ich strony demagogia.

Oczywiście, resort nie przewiduje dalszej rozbudowy przemysłu włókienniczego w Łodzi — ale na tych pozycjach, które tu w Łodzi już mamy — utrzymamy się. Będziemy oczywiście modernizować łódzkie włókiennictwo, bo 1 kg przyrostu produkcji przędzy kosztuje o 50% taniej w zmierzonym zakładzie niż w nowowbudowanym.

— Właśnie — wtrącam się — MKPG uważa, że poprzez modernizację można wyrównać ten ubytek produkcji związanej z modernizacją trzeciej zmiany?

— To bardzo skomplikowany problem. Na przykład tkalni w ogóle nie możemy modernizować, bez ubytku mocy produkcyjnej. Nowoczesne krosna mają większe wymiary (gabaryty) i w naszych przestarzałych budynkach fabrycznych możemy ustawić ich mniej niż tych, które posiadamy obecnie.

Przedalnię będziemy modernizować, ale to wcale nie zmniejszy zatrudnienia. Większa ilość przędzy będzie wymagała więcej ludzi na wydziałach pomocniczych, które nie będą modernizowane.

Tak więc nie ma żadnego sporu. Po prostu my chodzimy po ziemi, a oni tam w MKPG — po niebie.

4.

Reporter odwiedza dalszych dyskutantów. Wszędzie jednak w komitetach partyjnych, w Związkach Zawodowych, słyszy to samo: Towarzyszu, trzecia zmiana to zło konieczne. Po czym następuje wymienienie cyfry 2,5 miliarda zł i bezradne rozłożenie rąk.

Reporter jest człowiekiem skromnym, nie chciałby udzielać tak wybitnym fachowcom rac. Sądzi jednak, że nie należy rozkładać bezradnie rąk. Reporter rozumie, że to nie jest łatwa sprawa w przestarzałym przemyśle włókienniczym, ale przecież walka o wydajność pracy, jej jakość i ilość zawsze stanowią ów złoty środek. albo może lepiej — ów: złoty klucz, którym otworzy się tajemnicę trze-

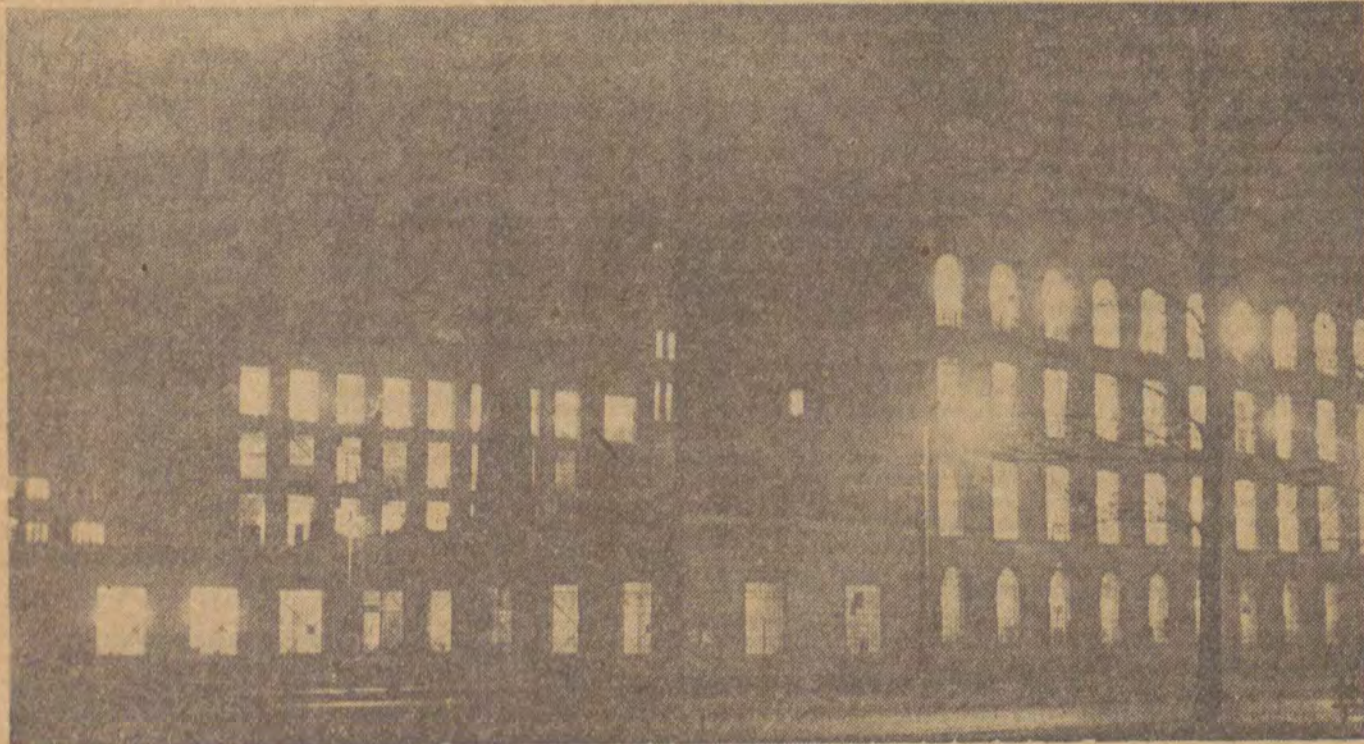


Foto Eugeniusz Kudań

FRANCJA PO PÓŁ ROKU

(Dokończenie ze str. 2)

rzy oddając głosy „tak” na de Gaulle'a nie utożsamiali się bynajmniej z prawicą.

Odnowa finansowa Francji, przez prawicę proklamowana i przez prawicę realizowana, ugodziła już przeciwko wyraźnie w najemnych pracownikach i wielodzietne rodziny. Setki miliardów franków, które w wyniku zarządzeń oszczędnościowych wpłynęły i wpłyną jeszcze do skarbu państwa zostały wycięnięte za cenę ograniczenia spożycia. Wycięnięto je z tych, dla których przejazdy autobusowe stanowią obciążenie w budżecie, którzy będą musieli pić mniej taniego wina i spożywać mniej pszennych bułek. Wielki francuski kapitał łoży na odnowę finansową w minimalnym stopniu. Uzasadnia się to tym, że Francji trzeba zapewnić możliwość ekspansji gospodarczej, że nie można stępić ostrza kapitału. Na razie jednak placą — jak zawsze — biedni.

I wreszcie najistotniejszy chyba problem do rozpatrzenia: „Przywrócić pokój w Algierii”.

W korespondencji z Algieru „Express” z 12 bm. kreśli tego rodzaju niezmiernie charakterystyczny obrazek. Otóż „przed kilkoma dniami w obozie „reeducacji”, znajdującym się o 20 km od Algieru, oficer sztabu generalnego akcji psychologicznej zadał w czasie inspekcji pytanie jednemu z Algierczyków: „Francja rozciąga się od Dunkierki do...?” Młody Algierczyk nie odpowiedział natychmiast. Zniecierpliwiony oficer pyta: „Nie nauczyłeś się formułek: od Dunkierki do Tamanrasset, czy też nie zgadzasz się z tą formułą?” Algierczyk odpowiedział wówczas: „To nie ja się nie zgadzam, lecz gen. de Gaulle. Prezydent Republiki mówi o „osobowości algierskiej”, o „dziesięciu milionach Algierczyków” i o „stowarzyszeniu między Algierią a Francją”. Istnieją więc dwa narody, a nie jeden”.

Oficer stawia to samo pytanie innym Algierczykom. Wszyscy jednak nauczyli się na pamięć oredzi deklaracji gen. de Gaulle'a i udzielają tej samej odpowiedzi. W wyniku tej inspekcji oficer złożył raport Generalnej Delegaturze w celu wykazania, „w jaki sposób wysiłki akcji psychologicznej są unie-

stwiane przez nową doktrynę gaullistowską”.

Czyż nie ciekawy to obrazek? Wojna w Algierii trwa przecież, a na tle spustoszonych wsi i pól bitewnych, na tle umierających w boju Algierczyków i Francuzów krzyżują się wygłaszane z piedestału słowa gen. de Gaulle'a i różniące się od nich definicje najbliższych mu partii — UNR, generałów i ultrasów. De Gaulle mówi „osobowość algierska”, a gaullisci mówią „integracja”. De Gaulle zarządza amnestią dla powstańców, a prawica krzyczy „śmierć fellachom”. De Gaulle mówi „pokój dzielnym”, a prawica krzyczy „śmierć mordercom”. De Gaulle rozumie, że nie można związać Algierii z Francją jedynie poprzez represje militarne, poprzez naga pacyfikację. Widzi ratunek w podniesieniu do takiego poziomu gospodarki algierskiej, aby Algierczykom Francja była potrzebna. Ale zamierzenia generała są nieziszczalne. Algierczycy rzucają zarówno wyzwanie śmierci w ciągłych, nieustannych walkach, jak i odrzucają „kapitulacje dla dzielnych”. Algierczycy walczą o niepodległość. Wojna więc trwa i trwać będzie.

I wreszcie jeszcze jedna kwestia. W pierwszym okresie po dojściu de Gaulle'a do władzy snuto najróżniejsze spekulacje na temat jego nacjonalizmu, który znajduje swój wyraz w antyniemieckim ostrzu francuskiej polityki. A dziś są wszelkie podstawy, aby twierdzić o o istnieniu aliansu Paryż — Bonn. Stary generał i stary kanclerz, nacjonalista francuski i nacjonalista niemiecki znaleźli wspólny język. Cud? Nie. Rezultat smutnych dla Francji realiów. De Gaulle chce przywrócić mocarstwu blask Francji, ale Francja jest słaba i słaba pozostaje. De Gaulle marzy o tym, żeby dostać się pomiędzy wielką dwójkę Anglosasów — USA i Wielką Brytanię, żeby razem z nimi nie tylko formalnie, ale i faktycznie współdecydować o losach świata. Anglosasi nie widzą konieczności dopuszczenia Francji do stosunków równego partnerstwa. De Gaulle więc się droży, szuka pomocy w Bonn. Francja podjęła nierówny bój z W. Brytanią o wspólny rynek. Bez poparcia Niemiec zachodnich Francja musiałaby ponieść katastrofalną w skutkach

porażkę. Adenauer poparł de Gaulle'a, potrzebując z kolei jego pomocy politycznej. Wzmocnia to bowiem pozycję Adenauera, rzesznicą twardego jak stal kursu na zimną wojnę. Francja jest biedna, a Niemcy zachodnie mają 6 miliardów dolarów w zlocie i walutach. W bieżącym roku Francja otrzyma od Niemiec zachodnich kredyty w wysokości 400 mln. dolarów!

Ten alians z Bonn może przynieść Francji doraźne korzyści polityczne, ale na dłuższą metę starczy pocałunek kanclerza Niemiec może być pocałunkiem bardzo niebezpiecznym. I tego również obawiają się Francuzi.

A lewica? Wszystkie znaki na niebie i ziemi, a przede wszystkim uzupełniające wybory kantonalne wskazują na następujące zjawiska: 1) poważna absencja wśród głosujących, wynosząca przeciętnie 50 proc. uprawnionych. 2) odzyskanie we wszystkich kantonach tych głosów komunistycznych, które KP utraciła jesienią ub. roku podczas referendum i wyborów parlamentarnych. 3) lewica zwycięża wszędzie tam, gdzie terenne organizacje socjalistyczne godzą się na współpracę z komunistami, z Unią Sił Demokratycznych czy z radykałami.

Zjawiska te napawają optymizmem. Głowa gen. de Gaulle'a nadal tkwi zawieszona wysoko nad dachami Paryża i równinami Francji. Ale tam w dole, w kanałach ulic Paryża i małych kantonach zachodzą znamienne procesy polityczne. Ale o tym już innym razem.

JACEK LEBEN

Do Redaktora Naczelnego „Odgłosów” w Łodzi.

W związku z artykułem pt. „Smirna upowuszechniona” redaktora Jerzego Wilmańskiego (Odgłosy z dnia 1 marca 1959 r.) Nr 9 (53) uprzejmie komunikujemy, że Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych w Łodzi nie ma nic wspólnego z zespołem opisywanym w/w artykule. P.P.I.E. w Łodzi nie nawiązywało kontaktów i nie podpisywało umów na występy wspomnianej imprezy, a przeciwnie, poszukuje organizatora wprowadzającego w błąd opinię publiczną i podsy-

wającego się pod szyld naszej Instytucji.

W związku z powyższym prosimy uprzejmie o sprzostowanie nieścisłości w Waszym piśmie.

Jednocześnie pozwalamy sobie stwierdzić, że publikowanie niesprawdzonych faktów podważa dobre imię Przedsiębiorstwa i mylnie kształtuje opinię społeczną o organizowanych imprezach.

STANISŁAW SPENGEŁ
dyrektor



Doryforos Polikleta



Proszę sobie wyobrazić surowy i romantyczny kraj — obraz górski; poszarpane turnie, przepastne urwiska, płaty wiecznego śniegu — jakież Himalaje, Islandię, czy choćby rodzime Tatyry — i proszę porównać turystyczno-wczasowe uroki owej pięknej ziemi z pożytkiem, jaki przynosi ludziom nasza poczciwa, obiektywnie przecież najpiękniejsza mazowiecka równina. Malowniczość okolicy nie stanowi o wartości gleby.

A dlaczego, gorszył się

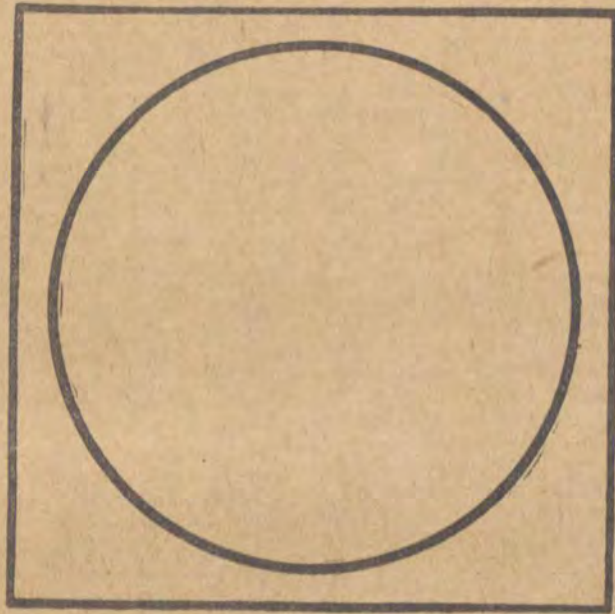
wszystkich czasach ocenić będą jako absolutnie piękną. Gdyby piękno samo w sobie miało być celem sztuki, podobne zamierzenie byłoby całkiem logiczne, ba obowiązywałoby każdego szanującego się twórcę. Tylko skąd wzięć wzorzec: z natury, z wyobraźni? Niektórzy szukali i znaleźli... z matematyki.

I słusznie. Jeżeli piękno ma być idealne, trzeba znaleźć miernik dokładniejszy niż niedoskonałe zmysły ludzkie. Nic na oko — wybierając miss świata, różne obwody mierzy się centymetrem.

I to jednak nie wyklucza pomyłek. Szukamy na przykład wzorowego kształtu nogi ludzkiej. Najprościej wydaje się dokonać pomiaru dużej ilości nóg i z tej statystyki wybrać właściwe proporcje. Ale co będzie, jeżeli w kraju, gdzie mierzymy, większość mieszkańców ma nogi krzywe? Taka właśnie metoda statystyczna zwiodła kiedyś Polikleta. Pamiętacie zapewne jego Kanon — przysadzistego młodzieńca, dla którego modelem było stu młodych Spartan. Rzeźba, owszem, niczego, ale ideał urody nie wyszedł.

Gdy nie daly żądanej wyniku doświadczenia praktyczne, teoretycy poszli po rozum do głowy. Idealne piękno, stwierdzili, istnieje w abstrakcji. I tylko abstrakcyjna figura może dać o nim pojęcie. Jaka? Oczywiście najprostsza i najdoskonalsza. Taka jest tylko jedna — rzecz najpiękniejsza w świecie (buźki, jakby powiedziały pewien młody człowiek) — koło narysowane cyrklem.

Oto jakimi drogami wstąpiłamy w krainę ideału.



Obraz idealny

Lew Tolstoj, wartość dzieła sztuki chce mierzyć jego pięknem? Trochę starszego przesadzał, ale tylko trochę. Bo rzeczywiście: czy celem sztuki jest piękno?

Proszę nie przekreślać — wcale nie twierdzą, że dzieło sztuki ma być brzydkie, to znaczy pozbawione wartości estetycznych. Skądże znowu. W tej chwili jednak mówimy o czym innym.

Przypuścimy, że artysta postanowił stworzyć coś idealnego — posąg, obraz, wiersz, utwór muzyczny — rzecz, którą wszyscy i we



ciej zmiany. Ta właśnie wyjątkowość przyniosła podwyżkę plac włóknarskich, ona też stanowi jedną z dróg wiodących do likwidacji trzeciej zmiany.

Reporter odwiedza wreszcie ostatniego z zainteresowanych, który zupełnie niespodziewanie wirać się do dyskusji, prowadzonej przez członki centralne i wojewódzkie: Załogę Widzewskich Zakładów im 1 Maja.

Zakłady te wystąpiły niedawno z propozycją likwidacji nocej pracy w sobotę — przy czym zapewniali, iż nie odbije się to zupełnie na wykonaniu planów produkcyjnych. Propozycja ta została jednak odrzucona — Centralny Zarząd nie zatwierdził jej, a później zresztą i same zakłady wycofały się z niej.

Nie wiem jeszcze dlaczego, na razie rozmawiam z inżynierem Michałowiczem, zastępcą nacz. inż. Zakładów im. 1 Maja.

W tym gabinecie cyfry, ekonomika też odgrywa rolę, ale tu już wyczuwa się napór postulatów załogi. Po prostu ten gabinet znajduje się znacznie bliżej p. Kwiatkowskiej...

W Zakładach im. 1 Maja

problem trzeciej zmiany dotyczy 3.400 robotników, co stanowi 74% załogi prawie samych kobiet. I kobiety te, w większości obciążone dziećmi, dojeżdżające do pracy z okolicznych miejscowości oczywiście domagają się likwidacji trzeciej zmiany.

Stąd też propozycja Zakładów im. 1 Maja likwidacji nocej pracy chociaż w sobotę, a więc w dzień, w którym prządka ze względu na gospodarstwo domowe prawie zupełnie nie ma czasu, by przespać się chociaż kilka godzin. Sobota jest najgorsza — mówią robotnice.

Moją rozmowę z inż. Michałowiczem można by zatytułować „gdyby”.

Gdyby, na przykład, robotnica nie musiała stać w kolejce „za mięsem”, gdyby posiadała pralkę, gdyby mogła nabyć w sklepie „półfabrykaty do produkcji kuchennej”, gdyby wreszcie jej praca w kuchni mogła być połowicznie zautomatyzowana, oczywiście problem trzeciej zmiany nie byłby tak ostry.

Wyposażenie kuchni i przy słowiowa pralka, „kombajny kuchenne”, cały szereg drobnych przyrządów — to u nas wciąż jeszcze artykuły

półlüksowe. Zdaniem reportera można by jeden czy dwa zakłady pracy wyspecjalizować w masowej i taniej produkcji „pomocy kuchennych”. Pani Kwiatkowska będzie to wdzięczna. Co można jednak zrobić w tej chwili? Inż. Michałowicz studiuje ten problem i ma wiele do powiedzenia. Wie również jak jest w innych krajach.

Na przykład w Związku Radzieckim, gdzie we włókiennictwie jest również praca na trzy zmiany, w nocy robotnik przebywa na terenie zakładów jedynie 7 godzin i 20 minut. Te 20 minut to bardzo ważna sprawa. Jest to tzw. mikropauza. W środku nocy robotnice wylączają maszyny i na 20 minut opuszczają halę produkcyjną, przechodząc do świetlicy, bufetu lub stolówki.

Natomiast u nas robotnica w nocy je przy maszynie i cały czas oczywiście musi uważać by się nie zrzwała — to powoduje nerwowe stany żołądka. Zresztą mikropauza jest potrzebna nie tylko ze względu na czas posiłku. Po prostu robotnik musi na pewien czas — jeśli znużenie nie ma dojść do maksimum oderwać się od maszyny,

Wprowadzenie tej innowacji a więc mikropauzy i 7-godzinnej pracy w nocy pociągnęłoby za sobą stratę 3% mocy produkcyjnej. Razem z likwidacją zmiany nocej w sobotę — wydatek w przybliżeniu równy kosztom wybudowania dwóch nowych przędzal (400 milionów zł).

Zdaniem inż. Michałowicza bez nowych nakładów inwestycyjnych nie można wprowadzić w życie tych innowacji. Dlatego też Zakłady im. 1 Maja wycofały swoją propozycję, gdyż w takiej sytuacji resort nigdy by nie mógł podwyższyć im planu, który zresztą w tych zakładach i tak nie zawsze jest wykonywany...

Czy stać nas na taki wydatek?

Reporter nie wie, reporter nie jest fachowcem.

Ale reporter dowiedział się że w Związku Radzieckim zainstalowano już w wielu blokach mieszkalnych specjalne kuchnie dla kobiet, które pracują. Za 5 rubli dostaje się na miejsce specjalnie zamówiony obiad. To są może jeszcze tylko półśrodki, ale półśrodki, które wyzwalały godzinę na sen, na odpoczynek, łagodzą łącznie z mikropauzą ostry problem trzeciej zmiany.

5.

Reporter wie o tym, że resort MPL docenia w pełni społeczny problem trzeciej zmiany. Już w tej chwili wprowadzono 15-procentowy dodatek za pracę nocną, co łącznie z regulacją plac we włókiennictwie (w lutym br. przeciętny zarobek w bawelnie dla robotników flizycznych wyniósł 1388 zł) poprawiło sytuację łódzkich włóknarzy. Już nie są teraz na szarym końcu w tabeli plac.

Być może, że planisci MKPG nie chodzą po ziemi... Ale w ich planach zmiany struktury przemysłowej w Łodzi jest jednak coś urzekającego, coś, czego w żadnym wypadku nie wolno odrzucać, coś, co zmusza do dyskusji.

Stąd winni się wypowiedzieć fachowcy: ekonomiści — praktycy i pracownicy naukowcy i lekarze. Tak, lekarze, bo problem niestety dotyczy zagadnienia zdrowia tysięcy kobiet.

Problemów do dyskusji jest mnóstwo. Ot, chociażby reporter dowiedział się, że kosztem 250 milionów złotych można kompletnie zmodernizować Widzewskie Zakłady im. 1 Maja, co by

dało wzrost produkcji o 50%. Czy można by wówczas zmniejszyć zatrudnienie i czy to co zaoszczędzi się na funduszu plac pokryje koszty modernizacji?

Nie wystarczy chyba powtarzać: trzecia zmiana to zło konieczne. Trzeba jednak znaleźć środki zaradkowe, w tej chwili może nawet półśrodki w rodzaju mikropauzy.

W tym sporze bowiem wszyscy mają rację: i resort MPL i MKPG i wreszcie robotnicy.

ANDRZEJ JAROSŁAWSKI

P.S. Młody lekarz przemysłowy Widzewskich Zakładów im. 1 Maja chce podjąć pracę badawczą, nad znużeniem robotnic w czasie pracy nocej. Potrzebny mu jest w tym celu, produkowany w Anglii, aparat do mierzenia znużenia. Może by odpowiednio czynnik umożliwiły mu pracę nad tak ważnym dla Łodzi zagadnieniem?

CZEMU SIĘ BUNTUJESZ?

DOKOŃCZENIE ze str. 1

panną zdecydowała się wyjść za mąż. W każdym bądź razie — tym „jedynym” okazał się miejscowy, zamężny gospodarz.

Dzisiaj w pani X. nikt nie rozpoznałby tej pełnej entuzjazmu nauczycielki sprzed kilku lat. Dzisiaj pani X. niekiedy przybiega zadyszana na lekcje, z oczami dziwnie zaczerwienionymi, niezdarne ukrywając posiniaczoną twarz, ręce. Dzisiaj, jakże często słychać w idiosie głos „właściciela pani X.” przywołującego „swoją babę” do oporządzenia trzody, gospodarstwa...

Z panną Y. sprawa wygląda nieco inaczej. Ot, po prostu panna Y. nie ma gdzie mieszkać. Co prawda budynek szkolny, w którym panna Y. uczy jest nowy, tylko że mieszkania dla niej nie ma. Dlatego też pannę Y. umieszczono u miejscowych niezbyt przychylnych gospodarzy. Wśród czynności, jakie przypadły pannie Y. w udziale z tytułu wynajmu mieszkania, nie znajduje się wiele chwil do pracy nad sobą. Czas na poprawianie zeszytów jakże często trzeba zamienić na gotowanie, dopilnowanie trzody, wszystko dla tak zwanego świętego spokoju...

Na tej samej konferencji usłyszałem postawione przed nauczycielstwem bardzo wzniosłe zadanie, do którego całym sercem przyglądnąłem.

— Głowę nauczyciela musi być widać ponad społeczeństwem. Nauczyciel winien stać się doradcą środowiska, w którym pracuje i być potrzebnym temu środowisku.

Jakiś inny głos złośliwie zapytał:

— Czy kto widział parafię bez plebanii?

Myślę, że ze względu na trudny dojazd przywykliśmy traktować Rawę Mazowiecką za teren niedostępny i najprawdopodobniej w tym tkwi przyczyna, że w poszukiwaniu „tak zwanego „świata zabitego deskami” wybrałem się do Rawy. No cóż, rzeczywistość na tej trasie autobus PKS jest najwygodniejszym, a raczej najpraktyczniejszym środkiem lokomocji. Chociaż od Rogowa kursuje jeszcze tak zwana „ciuchcia”. Tylko — jak stwierdził redaktor Kolanko z Rozgłośni Łódzkiej Polskiego Radia — prędzej doleć niż „ciuchcią” zajadiesz. Wyznam ze skrucha, że nie sprawdziłem słów redaktora Kolanko. Natomiast stwierdzić mogę, że „nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło”. Do czasu sławnego huraganu — jak utrzymują mieszkańcy — nikt o Rawie nie wiedział, zawsze twierdzono, że tu nie się nie dzieje. Teraz na odwrót. W Rawie dzieje się wiele.

Gdy minął huragan nasi dziennikarze, wyprzedzając się w pomysłach, obwieścili światu, że Rawa, acz zeszpecona, istnieje w dalszym ciągu, nawet budownictwo mieszkaniowe ruszyło z kopyta. Jeszcze trzy i pół miliona gotówki, a w zakresie gospodarki komunalnej skutki huraganu zostaną załagodzone. Jak wszędzie tak i tu są złośliwi (?), którzy twierdzą że na huraganie spryciarze

dobrze wyszli i modlą się o następny.

Szkoda tylko, że za mało myśli się o uprzemysłowieniu tego terenu. No, bo cóż to jest — na około 6 tys. mieszkańców — Fabryka Żyłek zatrudniająca około 160 pracowników i cały przemysł terenowy — około 100. Podczas gdy przy najlepszym gospodarczym zapleczu przetwórstwo owocowo-warzywnicze lub mięsne miałyby duże możliwości. Jedyna trudność leży w tym, że „czynniki od przemysłu” utrzymują: „nie damy przemysłu, bo nie ma kolei” a „czynniki od kolei” na odwrót „nie damy kolei, bo nie ma przemysłu”. Jakże to proste!

Inaczej ma się rzecz ze szkolnictwem — na 110 szkół w powiecie 10 do 15 budynków uznać można za dobre, natomiast pilnych zabiegów budowlanych wymaga około 60 szkół. W sześciolciu przewiduje się postawienie 35 nowych budynków szkolnych.

Zakuję, że na dłuższe rozmowy nie mogłem sobie pozwolić, ponieważ wszyscy byli jacyś zaferowani konferencjami, odprawami. Pani w jednym z urzędów dobre pół godziny trajkotała telefonicznie o zapowiedzianym na dziś bału... A więc czy odnajdę tutaj autorkę listu? Nie. To stanowczo nie była pieczętka Rawy. To nie jest poszukiwany przez mnie „świat”. A może w...

Kiedy pytałem o najodleglejsze miejscowości dodawano z drwiną:

— Spróbujcie dostać się tam w taką zadymkę. Samochodem nie dojedzie wcześniej jak latem.

.....

Rzeczywiście. Na dworce wiatr z wilgotnym śniegiem przenikał aż do kości. Ale pozostanie w mieście stało się niemożliwe tym więcej, że nie byłoby gdzie spać. Owszem, są tam gdzieś jakieś „pokoje” noclegowe, tylko... nie radzę próbować.

„To nie Łódź ze swoim dworcem Kaliskim i Fabrycznym” — jak mi powiedziałano.

Jak na złość samochód do Nowego Miasta przeladowany. Szofer gromkim głosem odpędza pasażerów od drzwi. Zapewne jednak nasze rozmodlone miny podziałały, skoro po chwili wahania drzwi otwarto. Z zamknięciem było gorzej, ale kilka fachowych ruchów samochodem do przodu i tyłu — i wystarczyło.

.....

Nie tylko w Częstochowie powietrze przesycone jest zapachem kadzidel. Podobnie w Nowym Mieście — kościół, klasztor, kilka konwentów i pełno kobiecich biegających palcami po paciorkach różańca. Nawet

.....

.....

.....



pani, u której zamieszkałem, dzięki uprzejmości jednego z miejscowych nauczycieli, na wstępie zastrzegła, że jest osobą co prawda tylko w czterech świętych wierzącą (między innymi w św. Antoniego, który ma ją w opiece zyskując gości na nocleg) ale dewotką nie jest, wbrew krążącym plotkom.

Ponieważ zaszczycono mnie posłaniem w pokoju pani domu, miałem przeto wysłuchać wszystkich tajemnic duchowych miasteczka. A zaszczycono mnie również dlatego, ponieważ pozostali „nocleganci” w liczbie trzech okazali się niegrzecznymi słuchaczami i poszli spać. A więc elokwentna pani w sposób wyczerpujący opisała mi swoją aktywną działalność na niwie organizowania dorocznego pielgrzymek, swoje źródła dochodów z noclegów i cotygodniowych jarmarków oraz tym podobne sprawy. Nie tylko ona jedna żyje z jarmarku. Z jarmarku żyje większość mieszkańców. To nie jest jednak istotne. Istotne jest to, że mam gdzie spać, a tym samym możliwość walenia się po okolicznych miejscowościach.

.....

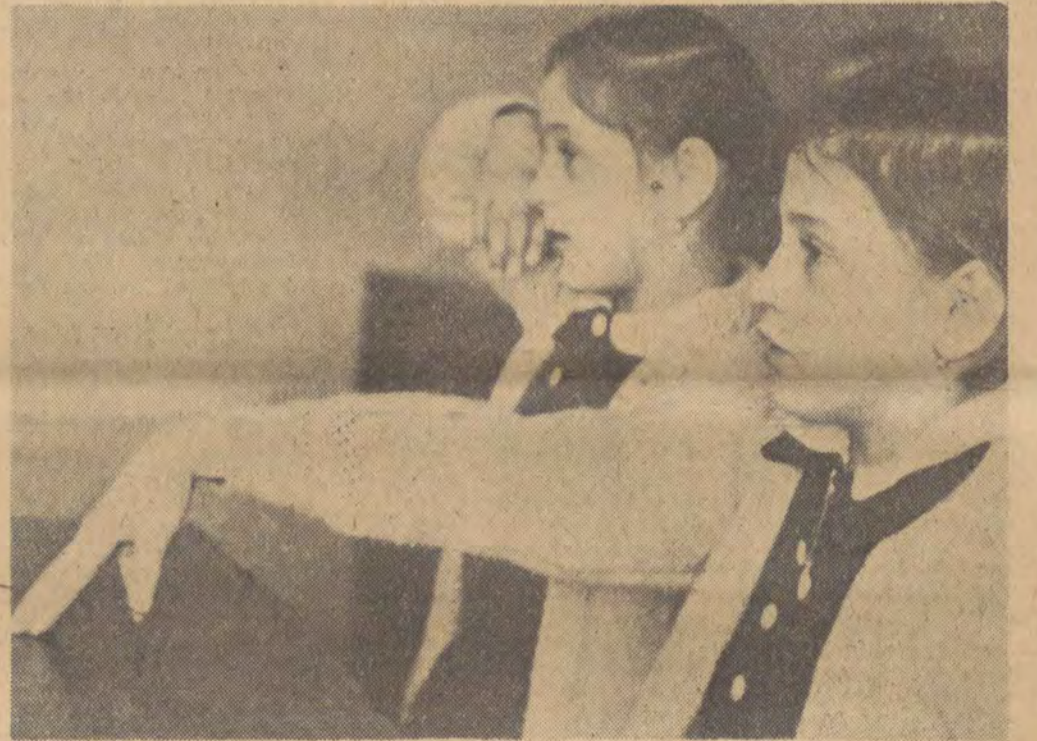
Słyszałem jak jeden z nauczycieli twierdził uparcie, że wszystkie imprezy organizowane dla nauczycieli są zbyt drogie. Na przykład: koszt biletu na „Mazowsze” wynosi 12 złotych, a przejazd do Warszawy łącznie z dojazdamy 120 zł.

.....

.....

.....

.....



I korzystają z podobnych imprez. Oczywiście ci z Nowego Miasta, bo już dla tych zza Pilicy sprawa staje się bardziej kłopotliwa. Tylko raz w miesiącu można zdobyć się na przebycie kilkunastu kilometrów pieszo — po odbiór uposażenia. Potem znów powrót tam, gdzie „samochodem nie dojedzie wcześniej jak latem”. Raz w miesiącu można tutaj zobaczyć trzy młode kobiety, które po podjęciu wyborów, zmęczonym krokiem wracają w swój świat, świat szkoły rozparcelowanej po izbach chłopskich. Przepraszam, kawalek przejadą PKS-em, potem wstęga ubielonej śniegiem drogi prowadząca tam gdzie oczekiwać będą samotny pokój, cztery puste ściany. Może to w tych zapomnianych przez Boga i ludzi stronach pracuje dwudziestoletnia nauczycielka? Chociaż mówiąc przenośnie, Bóg o tych stronach więcej pamięta, niż władze oświatowe, a może jeszcze wyższe władze?

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

wiskiem. Wymaga to od nauczyciela zarówno wielkiego umiłowania zawodu jak i znajomości środowiska. Do tego, ażeby szkoła stała się rzeczywistym ośrodkiem rozniesającym wiedzę, kulturę i postępową myśl, nauczyciel musi swoją postawą wyrobić sobie autorytet, zdobyć zaufanie i stać się niezastąpionym doradcą chłopca — to są drogi prowadzące do celu. — kończy trochę patetycznie.

Pracuj więc wytrwale młoda nauczycielko, kochaj dzieci, wszystkie dzieci, prócz własnego. Nie masz go przecie, nie masz własnego kąta. Ile upłyne lat nim sobie uložysz osobiste życie? Poznaj dobrze środowisko. Walcz z ciemnotą, widzisz przecie ile jej jeszcze choćby w Nowym Mieście. Na wszystkie Twoje kłopoty dwudziestoletnia nauczycielko, na przyspieszone bicie serca, tęsknotę za drugim człowiekiem masz jedno lekarstwo — pracę. Pasowano Cię na dziewiętnastowieczną siłaczkę, musisz wyrzec się wszystkiego, co osobiste, dla ogólnego dobra, dla społeczeństwa, Czemu się buntujesz?

.....

.....

MARIAN ZDROJEWSKI



Rakiety międzyplanetarne „Tantra” i „Algrab” wyruszyły z Ziemi na planetę Zirdę, aby zbadać dla czego łączność z tą planetą została zerwana. Okazało się, że na skutek zabójczego promieniowania życie na Zirdzie zamario. Gwiazdolot „Tantra” znalazł się w tragicznej sytuacji. Na Zirdzie „Tantra” miała odnowić swe zapasy paliwa, co stało się teraz niemożliwe. Drugi gwiazdolot „Algrab”, który mógłby zastąpić „Tantrę” dodatkową ilością paliwa, tzw. anamezonu, nie przybył na umówione spotkanie. Na próżno „Tantra” szuka „Algraba”.

— Przespałem czternaście godzin! A wy nie obudziliście mnie. To jest... — zamilkł napotkawszy jej wesołe spojrzenie. — Natychmiast proszę iść odpocząć.

— Czy mogę pospać tutaj jak wy? — poprosiła.

Pobiegła coś zjeść, wzięła kąpiel i wróciła by wygodnie usadowić się w fotelu. Jej błyszczące piwne oczy z ciemnymi obwódkami ukradkiem śledziły Erg Noora. Wypoczęty, odświeżony prysznicem faldowym, zajął miejsce przy aparatach. Sprawdzając wyniki począł się przechadzać wielkimi krokami.

— Dlaczego nie śpicie? — zapytał.

— Rozmyślałam — odpowiedziała trochę niepewnie. — Nawet teraz, chociaż znajdujemy się w niebezpieczeństwie, jestem pełna podziwu dla potęgi i wielkości człowieka, który przeniknął olbrzymie przestrzenie kosmosu. Dla was są to już sprawy powszednie, ale ja jestem po raz pierwszy w kosmosie. Pomyśleć — uczestniczę w gigantycznej podróży do nowych światów.

Erg Noor uśmiechnął się i potarł czoło.

— Muszę was rozczarować, a mówiąc ściślej, pokazać prawdziwą skalę naszej potęgi.

Noor stanął przy projektorze. Na tylniej ścianie kabiny pojawiła się świecąca spirala galaktyki. Reka wskazała boczną odnogę spirali składającą się z rzadkich gwiazd i przypominającą mętnie świecący pył.

— Oto pustynny obszar galaktyki, słabo oświetlony i skąpo zamieszkały. Miesi się tam nasz układ słoneczny, znajduje się tutaj również nasz statek. Lot wzdłuż tej odnogi naszej „Tantra” wyniósłby 40 tys. lat niezależnych. Przebiecie czarnej orodni, oddzielającej odnogi zajęłoby nam 4 tys. lat. Rozumiecie więc, że nasze loty w olbrzymie przestrzenie kosmosu — to, jak dotychczas, tylko dreptanie na małym obszarze o średnicy wynoszącej 50 lat świetlnych! Jak niewiele wiedzielibyśmy o wszechświecie gdyby nie potęga Wielkiego Pierścienia komunikaty, zdjęć, mównic wysłane z kosmosu nieosiągalnego dla krótkiego ludzkiego

życia. Dzięki nim poznajemy coraz dalsze światy. Nieustannie trwa proces gromadzenia wiedzy.

Niza siedziała zaskoczona.
— Pierwszy lot do gwiazd... — ciągnął dalej Erg Noor. — Niewielkie statki nie posiadające ani naszej szybkości, ani naszych urządzeń zabezpieczających. Życie ludzkie trwało wówczas połowę obecnego, wtedy właśnie człowiek był naprawdę wielki!

Niza zaprotestowała:
— W przyszłości, gdy ludzie już w inny sposób pokonywać będą te olbrzymie przestrzenie o nas też powiedzą: takimi prymitywnymi środkami zdobywali kosmos — bohaterowie!

Kierownik ekspedycji uśmiechnął się i wyciągnął rękę do dziewczyny:

— To o was tak powiedzą. Niza zarumieniła się.

— Jestem dumna, że przebywam tu razem z wami! I gotowa jestem zrobić wszystko, aby pomóc w poznaniu kosmosu.

— Tak, wiem o tym — w zamyśleniu odpowiedział Erg Noor. — Ale nie wszyscy tak myślą.

Kobiecą intuicją wyczuła o czym myślał. W jego kabinie znajdują się dwa stereoportrety o pięknym fioletowo-złocistym kolorze. Na obydwóch portretach — historyk światła starożytnego — piękna Weda Kong — z jasnym spojrzeniem oczu błękitnych jak ziemskie niebo. Na jednym portrecie stoi ona opalona, uśmiechnięta i podniesioną ręką odgarnia popielate włosy; na drugim — siedzi roześmiana na miedzianej armacie okrętowej, zabytku z niepamiętnych czasów.

Erg przestał spacerować i powoli usiadł naprzeciw Nizy.

— Gdyby pani wiedziała, jak brutalnie los zniszczył moje marzenia, tam, na Zirdzie! — odezwał się nagle. — Jeśliby Zirda nie zginęła, mogliśmy tam uzupełnić paliwo — ciągnął dalej w odpowiedzi na pytające spojrzenie dziewczyny. — Poprowadziłbym ekspedycję dalej. To już było uzgodnione z Radą. Zirda przekazałaby na Ziemię wszystkie komunikaty, a „Tantra” poleciałaby dalej, zabierając tych, którzy zgodziliby się na dalszą podróż. Pozostali mogliby wsiąść w „Algraba”, specjalnie wezwanego na Zirdę.

— Ale ktoś by został? — krzyknęła oburzona dziewczyna. — Chyba tylko Pur Hiss? Ale jest przecież wybitnym uczonym! Jego także pociąga chęć poznania nowych światów!

— A pani, Nizo?

— Ja? Oczywiście.

— Ale... dokąd? — zapytał nagle twardo Erg Noor, uważnie przyglądając się dziewczynie.

— Wszędzie. Chociażby tam... — wskazała na czarną przepaść między dwoma odnogami gwiazdnej spirali galaktyki.

— O, nie trzeba aż tak daleko, mój miły astronawigatorze. Przed osiemdziesięciu laty zorganizowano trzydziestą czwartą gwiazdną ekspedycję, tzw. „schodkową”. Trzy gwiazdoloty zaopatrując się nawzajem w paliwo oddalały się coraz bardziej od Ziemi kierując się do gwiazdozbioru Liry. Dwa statki lecące bez załogi oddały anamezon i wróciły. Na koniec trzeci... „Zagiel”...

— On przecież nie wrócił! — szepnęła dziewczyna.

— Tak, „Zagiel” nie wrócił. Dotarł do celu i zginął w drodze powrotnej. Zdałby jednak nadesłać wiadomość. Celem jego podróży był duży układ planetarny błękitnej gwiazdy Węgi lub Alfę. Iż oczu niezliczonych pokoleń podziwiała ta jasna, niebieska gwiazda północnego nieba! Wega znajduje się osiem parseków¹⁾ od Ziemi, czyli trzydzieści jeden lat w czasie niezależnego. Ludzie jeszcze nie latali tak daleko. W każdym bądź razie „Zagiel” osiągnął cel. Przyczyną jego zaginięcia nie znamy. Może meteorit lub poważna awaria? Jest prawdopodobne, że on po dziesiąt dzień pedził gdzieś w przestrzeni i bohaterowie, których uważamy za martwych jeszcze żyją?...

— To straszne!

— Taki jest los każdego gwiazdolotu, który nie może osiągnąć odpowiedniej szybkości. Między nim a jego rodzimą planetą powstaje tysiącletnia odległość.

— Co przekazał „Zagiel”? — gwałtownie zapytała Niza.

— Bardzo niewiele. Nadawanie często się rwało, a potem zupełnie ustało. Pamiętam dokładnie treść komunikatu: „Ja „Zagiel”, ja „Zagiel” idę od Węgi dwadzieścia sześć lat... wystarczająco... będę czekał... cztery planety Węgi. Nie istnieje nic piękniejszego... jakie szczęście!”
— Więc oni wzywali pomocy, chcieli gdzieś czekać?!

— Oczywiście, w innym wypadku gwiazdolot nie traciłby tak potwornej ilości energii potrzebnej dla przekazania wiadomości. Cóż jednak można było zrobić? „Zagiel” więcej się już nie odezwał.

— Dwadzieścia sześć niezależnych lat powrotnej drogi. Od Słońca dzieliło ich około pięciu lat... Statek znajdował się właśnie gdzieś tutaj, lub jeszcze bliżej Ziemi...

— Wątpię. Chyba, że przekroczył normalną szybkość i zbliżył ją do granicy kwantowej²⁾. Ale to jest bardzo niebezpieczne.

Erg Noor począł dokładnie tłumaczyć przyczyny zmian, jakie następują w materii przy osiągnięciu prędkości światła, zauważył jednak, że dziewczyna słucha go nieuwzięnie.

— Dotarło więc do nas najważniejsze z komunikatu — opowiadał dalej Erg Noor. — Oni odkryli jakieś szczególnie piękne światy. Ja już od dawna marzę o powtórzeniu tras „Zagla”. Przy obecnych udoskonaleniach jest to możliwe dla jednego statku. Od młodości marzę o Wedze — niebieskim słońcu z pięknymi planetami!

— Ujrzyć takie światy... — rwałym głosem przemówiła Niza. — Ale na powrót trzeba sześćdziesięciu ziemskich lat. To znaczy... Pół życia.

— Tak, ale wielkie osiągnięcia wymagają wielkich poświęceń. Dla mnie, to nawet nie jest poświęcenie. Moje życie na Ziemi składało się z krótkich przerw między lotami gwiazdowymi. Ja się nawet urodziłem na gwiazdolocie!

— Jak się to mogło zdarzyć? — ze zdumieniem zapytała dziewczyna.

— Trzydziesta piąta ekspedycja składała się z czterech statków. Na jednym z nich moja matka była astronomem. Urodziłem się w połowie drogi na bliźniaczą gwiazdę MN19026 + 7AC i tym samym dwukrotnie przekroczyłem prędkość. Po pierwsze — rosnę i wychowywałem się na gwiazdolocie, a nie w szkole. Cóż jednak można było uczynić? Gdy ekspedycja wróciła na Ziemię — miałem już osiemnaście lat. Na „sprawność Herkulesa” zaliczono mi moją umiejętność sterowania gwiazdolotem i to, że zostałem astronawigatorem.

— Ja jednakże nie rozumiem — przerwała Niza.

— Mojej matki? Będziecie starsza — zrozumiecie. Wtedy surowicy AT-Anty-TIA nie można było przechowywać długo. Doktorzy jeszcze tego nie znali... Byłem małą dziewczynką, przynosiłam mu takie własne stanowiska, jak to nasze, i ja wtrzeszczałam na ekran jeszcze bezmyślne oczy, śledząc gwiazdy. Lecieliśmy w kierunku gwiazdozbioru Wilka, gdzie znajdowała się blisko Słońca bliźniacza gwiazda Dwa karleki — niebieski i oranżowy, odkryte ciemną chmurą. Pierwszym moim świadomym doznaniem był widok nieba martej planety, które obserwowałem poprzez szklaną kopułę prowizorycznego obserwatorium. Na planetach podwójnych gwiazd zazwyczaj nie spotyka się życia z powodu nieprawidłowości ich orbit. Ekspedycja zorganizowała desant i przez siedem miesięcy prowadziła geologiczne prace badawcze. Znalezione tam, o ile pamiętam, olbrzymie bogactwo platyny, osmu i trwcu. Moimi zabawkami były niewiarygodnie ciężkie kawałki trydu. Ach, to niebo! Moje pierwsze niebo: czarne z jasnymi światłkami niemrugających gwiazd i dwoma słońcami niezwyklej piękności — jaskrawo-pomarańczowym i szafirowym. Pamiętam, że czasami promienie tych słońc krzyżowały się i wtedy planeta oświetlona była tak intensywnym i pięknym zielonym kolorem, że aż krzyżowałem i śpiewałem z zachwytem!... Ale dosyć na dzisiaj. Już powinność dawno spać — przerwał nagle Erg Noor.

— Mówcie dalej, proszę! Niedługo nie słyszałam tak fascynujących historii! — prosiła Niza.
Lecz kierownik okazał się nieubлагany. Przyniósł pulsujący hypnotyzator i dziewczyna pod wpływem rozkazującego spojrzenia czy też hypnotyzującego aparatu zasnęła natychmiast mocnym snem.

Obudziła się, gdy statek szykował się już do przejścia na szósty krag. Po wyrazie twarzy kierownika dziewczyna domyśliła się, że „Algrab” się nie pojawił.

— Obudziła się pani w odpowiednim czasie — powiedział Erg, gdy Niza wróciła po elektrycznej i faldowej kąpeli. — Proszę włączyć melodię i światło budzenia. Dla wszystkich!

Dziewczyna szybko nacisnęła szereg guzików i w kabinach, gdzie spali członkowie ekspedycji zamrugały urządzenia świetlne, a potem rozległa się dzwina muzyka pełna coraz głośniejszych niskowibracyjnych akordów. Rozpoczęło się powolne, ostrożne budzenie głęboko uspiętego systemu nerwowego. Po pięciu godzinach w głównym stanowisku sterowniczym zebrała się cała załoga, wzmocniona już posiłkiem i kąpielami.

Wiadomość o zaginięciu pomocniczego gwiazdolotu przyjęto bardzo różnie. Zgodnie z oczekiwaniami Erg Noora, ekspedycja jednak zachowała się godnie. Nie padło ani jedno słowo rozpacz czy strachu. Pur Hiss, który na Zirdzie nie okazał się zbyt odważny, teraz nawet nie drgnął. Młodzieńki lekarz ekspedycji — Luma Laswi trochę zbladła i obliżała zaschnięte usta.

— Uczcijmy pamięć zaginionych towarzyszy — rzekł kierownik i włączył ekran, na którym kolejno zjawiały się zdjęcia siedmiu ludzi. Była to załoga „Algraba”. Erg Noor wymienił każdego z imienia, a ekspedycja składała mu pożegnalny

hold. Od dawna bowiem istniał między astronautami zwyczaj, że poszczególne statki wylatujące na wspólne zadanie miały ze sobą komplet zdjęć uczestników całej ekspedycji. Zaginione statki mogły błędnie w przestrzeni kosmicznej, a ich załogi jeszcze żyły. To niestety nie miało już żadnego znaczenia — statek nigdy nie wrócił. Nie istniała żadna realna możliwość przyścia mu z pomocą. Konstrukcja gwiazdolotów była tak udoskonalona, że drobne awarie się nie zdarzały, wielkie zaś nigdy nie mogły być likwidowane w kosmosie. Czasami statkom udawało się nadać ostatnie komunikaty. W większości wypadków komunikaty nie docierały z powodu trudności w określeniu położenia gwiazdolotów, które znajdowały się poza zasięgiem przestrzeni zbadanych już przez Wielki Pierścień.

Wśród astronautów panowało przekonanie, że w kosmosie istnieje jakieś neutralne przestrzenie w których wszystkie fale tona jak kamienie w wodzie. Astrofizycy jednak uważali to wszystko za czczy wymysł skłonnych do fantazji podróżników kosmosu.

d. c. n.

¹⁾ anamezon — paliwo do pocisków międzyplanetarnych, składające się z substancji, której jądra atomów rozbita są przez związki mezonu.

²⁾ parsek — jednostka miary odległości kosmicznych równa 3,26 roku świetlnego, czyli 32×10^{12} km, czyli 32.000.000.000.000 km.

³⁾ granica kwantowa — granica prędkości bliska prędkości światła, przy której masa równa się nieskończoności, a czas maleje do zera.



(Dokończcie ze str. 4)

PUSTYNNYNE SZCZURY

organizm jest młody i silny trudno mi jednak przewidzieć, kiedy — o ile w ogóle — porucznik odzyska przytomność. Kanitan może oczywiście pozostać przy nim, pod warunkiem, że nie będzie palił. Uprowadzam tylko, że bez mojej wyraźnej zgody nie wolno mu zadawać żadnych pytań. Zrobie zastrzyk, jak tylko będzie to możliwe. Jeżeli w ogóle oczekiwacie się od niego dawciecie, to tylko po zastrzyku.

Pukanie Do gabinetu naczelnego chirurga wchodził oficer, składa pułkownikowi meldunek.

— Co za idiotyzm. Oczywiście, że teraz nie zastalście już nikogo. Mój może czekać, aż rano, kiedy wstanie, wróci do siebie? Radiostacja, mówi pan? Hm. Nie zabraliście jej, mam nadzieję? To dobrze, może ktoś się zjawi później. A tych czterech, których przewieziliście z porucznikiem? Nie nie wleźcie ważniejszego wykił rewolwerowy do osłony i strzelania w razie potrzeby? To było do przewidzenia. Ptaszek, który mógł nam coś powiedzieć, wyfrunął. Jedyna nadzieja w tym, że porucznik wkrótce odzyska przytomność,

Macie rysopis właścicieli mieszkania? Może to naprowadzi nas na jakiś ślad... do mnie? Halo, słucham... radiogram z Rzymu? — tak... tak... tak... zaraz raportuję... tak... niestety, o tych kilku godzin za późno, już jest wolny, właśnie jestem o niego w szpitalu. W każdym razie podziękujcie im... Odeść Kapitanie, niech pan sobie wyobrazi, że dostaliśmy zawiadomienie — jak pan myśli, skąd? Z Rzymu? — że porucznik jest uwieczony w tej willi! Skąd oni mogli o tym wiedzieć w Rzymie?

— Lulsi! Tak, to ja. Chciałbym pana zobaczyć... pan również? to świetnie, dziś wieczorem, w Ambasciadora, piękna sala... to to znaczy pełna sala? biała muszka, oczywiście... czyżby pan się bał? Nieustraszonej Lulsi, as, bo się przyślij na randkę, a szkoda, dowiedzieli się pan czegoś bardzo ciekawego... dla pana osobiste, o ósmej.

D. c. n.



ARKUSZ ZBIORCZY PYTAŃ I ODPOWIEDZI

PYTANIE KONKURSOWE NR 1

Jeśli uważasz swoje warunki mieszkaniowe za niedostateczne — jakim sposobem zamierzasz je poprawić?

- a) złożyłem (mam złożyć) podanie do władz kwaterekowych o przydział mieszkania
- b) czynię starania poprzez zakład pracy, który projektuje budowę mieszkań we własnym zakresie
- c) wstąpiłem do spółdzielni mieszkaniowej
- d) oszczędzam na książeczkę PKO

A B C D

PYTANIE KONKURSOWE NR 2

Jakie urządzenie nowego mieszkania mógłbyś uznać za zbędne?

- A — pralnia blokowa,
- B — suszarnia blokowa,
- C — parkietowa podłoga,
- D — przechowalnia wózków i rowerów,
- E — balkon lub taras,
- F — wanna — o ile będzie w zamian kabina z prysznicem,
- G — zsymp śmieci,
- H — wydzielona spiżarnia,

A B C D

E F G H

ZAKRESL na kuponie najwyżej 2—3 litery, odpowiadające poszczególnym elementom wyposażenia.

PYTANIE KONKURSOWE NR 3

Gdzie chciałbyś mieszkać?

- a) w śródmieściu
- b) na „peryferiach“
- c) w domku jednorodzinny
- d) w bloku
- e) jeżeli na peryferiach to w jakiej dzielnicy?

A B C D

E

tu wpisz nazwę tej dzielnicy

PYTANIE KONKURSOWE NR 4

Należy ocenić zwięźle, używając jednego lub najwyższej dwóch określeń przytoczonej poniżej skali ocen — każdy z przedstawionych w numerze projektów typowych domków jednorodzinnych. (Na przykład: „projekt M IV — ładny, niewygodny“, „projekt 00223 — brzydki, za drogi“ itp.). Skala ocen: bardzo dobry, dobry, przeciętny, ładny, niewygodny, brzydki, za ciasny, za drogi.

UWAGA: Projekty do oceny zamieściliśmy w nr 3 (47) „Odgłosów“. Numer do nabycia w sklepie „Ruch“ Łódź Piotrkowska 95

MB 0013

Tu wpisać ocenę

MB 0223

M IV

Tu wpisać ocenę

Tu wpisać ocenę

PYTANIE KONKURSOWE NR 5

Podział mieszkań budowanych wysiłkiem całego społeczeństwa musi być sprawiedliwszy niż dawniej — ubiegać się o nie mogą tylko ci, których żadną miarą nie stać na minimalne choćby oszczędzanie.

Pozostaje tedy otwarta kwestia: jak słuszniej i sprawiedliwiej rozdzielać chudy wciąg na te grube potrzeb potrzeb przydziałów między rzeczywiste najbardziej potrzebujących? Jak udoskonalić dotychczasowy system przydzielania mieszkań?

W Warszawie ma wejść niebawem w życie nowy system przydziału mieszkań z tzw. puli rad narodowych. Nowy system, podobny do stosowanego od lat w Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej polega na przyznawaniu odpowiedniej ilości punktów, w zależności od warunków lokalitywnych kandydata na przydział. Oto niektóre problemy objęte punktacją:

a) ze warunków dotychczasowego

mieszkania (suterena, piwnica, strych, lepianka, mieszkanie w ł. tne itp.);

b) współczynnik zagęszczenia — ilość lokatorów, członków rodziny (im wyższy — tym więcej punktów);

c) stan zdrowia lokatorów (gruźlica, krzywicca);

d) jak dawno petent ubiega się o mieszkanie (za każdy rok — dodatkowe punkty);

e) ilość dzieci.

To oczywiście nie wszystkie elementy dość skomplikowanego systemu punktacji. Uwzględnia on np. także wyniki pracy zawodowej i społecznej (ten czynnik nie ma jednak decydującej wartości punktowej) Nie uwzględnia jednak tak istotnego kryterium jak wysokość dochodu na członka rodziny.

Ubiegający się o mieszkanie, który zbierze najwięcej punktów zo-

staje wciągnięty na listę osób, o trzymujących przydział w pierwszej kolejności.

Zapytujemy więc uczestników naszego konkursu:

A. Czy uważasz ten system za słuszny?

B. Czy podobny system powinien wejść w życie także w Łodzi?

C. Czy powinno się punktować taki problem, jak wysokość dochodu na członka rodziny?

A tak nie

B tak nie

C tak nie

odp. na powyższe pytania przez skreślenie

a) Ile wynosił wskaźnik zagęszczenia na 1 izbę w Łodzi w roku 1939?

| |
|--|
| |
| |

b) Ile wynosił tenże wskaźnik w roku 1957?

PYTANIE NUMER 6

PYTANIE NUMER 7

1) Ile nowych izb trzeba by wznieść do roku 1975, a żeby zaspokoić łódzki „głód mieszkaniowy“.

Tu wpisać założoną liczbę

2) Ile izb powinno przybyć Łodzi w najbliższym planie etapowym, tzn. w latach 1960—1965.

Tu wpisać założoną liczbę

1) Jakie są typy spółdzielni mieszkaniowych?

| | |
|---|--|
| 1 | |
| 2 | |
| 3 | |

PYTANIE NUMER 8

2) Ile wynosi wkład na mieszkanie w spółdzielni typu lokatorskiego?

podać w procentach

PYTANIE NUMER 9

1) Czy wiedziałeś dotąd o książeczce mieszkaniowej PKO i przywilejach do niej przypisanych:

| |
|-----|
| tak |
| nie |

2) Czy wiedziałeś o możliwości składania oszczędności na mieszkanie dla swego dziecka:

| |
|-----|
| tak |
| nie |

3) Jeżeli chciałbyś oszczędzać na wkład na mieszkanie spółdzielcze o powierzchni 50 m² to przez ile miesięcy i po ile mógłbyś odkładać (zakładamy umownie że taki wkład wynosi około 20 tys. zł).

| | |
|-----------|--------|
| ile mies. | po ile |
| | |

ODPOWIEDZIAŁ:

(nazwisko i imię)

(adres)

(zawód)

(wiek)

Termin nadsyłania wypełnionego „Arkusza zbiorczego“ do dnia 31 marca 1959 r.

Przypominamy, że:

■ każdy uczestnik konkursu obowiązany jest załączyć do „Arkusza zbiorczego“ komplet kolejnych kuponów (dopuszczalne jest zastąpienie trzech dowolnych brakujących kuponów kolejnymi kuponami zastępczymi),

■ kandydat do nagrody specjalnej winni wypełnić specjalny kwestionariusz, który będą mogli otrzymać w redakcji „Odgłosów“ począwszy od poniedziałku 9 marca br.

W najbliższych numerach „Odgłosów“ w „Skrzynce odpowiedzi“ — komentarz do regulaminu losowania nagrody specjalnej i inne informacje o przebiegu konkursu.

KUPON
zastępczy nr 2

KUPON
zastępczy nr 3

Mieszani

POD REDAKCJĄ JANA HUSZCZY

Pocztówka

„Wydawnictwo Łódzkie”, jak wiadomo, zmieniło swoją sytuację prawną; ze spółdzielczego stało się państwowym. Z merytoryczną, konkretną krytyką upaństwowionego Wydawnictwa należy jednak cierpliwie czekać przynajmniej z rok, bo- wiem praktyka może pokazać — a chcemy być optymistami — iż nie zaszło ani nie złego, ani nie gorszącego. Na razie trzeba postulować, aby powołano do życia rzetelnie pojmującą swoje obowiązki jakąś Wysoką czy mniej wysoką radę programową. Ważne też jest, aby Wydawnictwo nie traciło informacyjnego i dyskusyjnego kontaktu z lokalnymi środowiskami twórczymi.

Trzeba też Wydawnictwu przypomnieć, iż jest obciążone — jeżeli chce w pełni zasłużyć na miano regionalnego w najlepszym rozumieniu tego słowa — b. poważnymi zaległościami.

Dla przykładu niektóre zaległości chciałyby się wyszczególnić.

Powinno się przypomnieć w niedużym, ale solidnie opracowanym tomiku, liryczną, a zwłaszcza satyryczną twórczość pierwszego w poważnym znaczeniu łódzkiego poety, Artura Gliśczyńskiego.

Należy zastanowić się nad wydaniem wierszy łódzkiego poety z dwudziestolecia, Mieczysława Brauna.

W naszym mieście dokonał swoich dni jeden z najświetniejszych rysowników

polskich i europejskich, Kazimierz Grus. Warszawa zapowiedziała wydanie w swoim czasie jego albumu, ale sprawa podejrzanie przewleka się. Dlaczego? Może dlatego, że nieboszczycy nie mają „chodów”. Pismo rozrywkowe „Karuzela” zrobiło dobry początek przez wydanie „Małego Kazia”. „Mały Kazio” jest jednak w dorobku Grusa czymś raczej drugorzędnym.

I wreszcie: tu od czasu wyzwolenia Łodzi aż do dnia swojej tragicznej śmierci mieszkał i pracował Jerzy Wyszomirski, najlepszy w Polsce tłumacz prozy rosyjskiej, ale jednocześnie znakomity felietonista i esejista, krytyk literacki, interesujący w swoim czasie także jako poeta. Więc właśnie Łódź — która go raczej, niestety, nie zauważała — powinna w skromny przynajmniej sposób zrehabilitować się! Na początek należy oczekiwać od Wyd. Łódzkiego choćby jedynomowego wyboru felietonów i esejów Jerzego Wyszomirskiego.

Chciałoby się tutaj podkreślić, iż wszystkie te proponowane pozycje reprezentują żywe wartości literackie czy też artystyczne! Innymi słowy: nie chodzi w tych postulatach o konwencjonalnie pojęte „spłacanie długu”, ale o interes Wydawnictwa, nazywającego się — jak dotąd, zupełnie słusznie — łódzkim.

Kupon dla czytelników „Mieszani”!

Wyciąć!

Wykorzystać!

„MIESZANI”
KUPON NR I

Kupon ten upoważnia do nabycia dowolnej ilości książek w dowolnie obranej księgarni po cenach aktualnie obowiązujących!

WIADOMOŚCI PRAWIE Z OSTATNIEJ CHWILI

Bary samoobsługowe

Zakłady gastronomiczne w Papierowej Górze postanowiły zreorganizować i usprawnić obsługiwane klientów, opierając się na zasadzie barów samoobsługowych. Odtąd klienci będą przechodzili na posiłki z własnymi talerzami i sztućcami. Zakłady udostępnią klientom kran z gorącą wodą, aby po konsumpcji mogli umyć wyżej wspomniane talerze i sztućce.

Zmiany personalne

Jak nam donoszą z Kalinówki Kościelnej, celem uzgodnienia stosunków i ulepszenia funkcjonowania

miejscowych władz, dokonano drastycznych zmian personalnych.

Prezes PZGS Bołbas został skierowany na stanowisko przewodniczącego CZB. Dotychczasowy przewodniczący CZB, Będzuda, ma pełnić funkcje prezesa PZGS, Naczelnik Bratborski z AKD obejmie stanowisko naczelnika w BDK. Dotychczasowy naczelnik BDK, Boksza, ma zostać naczelnikiem AKD. Dyrektor MPW, ob. Fiedziuszko, przechodzi do ZKU, zaś dotychczasowy dyrektor ZKU, ob. Dorembus, zostaje skierowany na dyrektora do MPW.

Istnieją także przypuszczenia, iż ob. Kryško, dotychczasowy komendant TUV, ma zostać komendantem w EFG na miejsce ob. Kiejzara, który zostanie mianowany komendantem w TUV...

Nasz odcinek powieściowy TRAGICZNA ŚMIERĆ RODZINY PIJAKA czyli ZA WINY NIPOPEŁNIONNE

(dokończenie!!!)

Już było późno, by ich ratować,
Dwa serca bić już przestały,
Ukląkł przed nimi, zaczął całować,
Krzyżąc, by jeszcze powstał...
W tym szale wyrwał broń z ręki żony
I sobie w usta wystrzelił.
Padł na dwa ciała, uciął jej...
Tu krwią się z nimi podzielił...



I tak trzy trupy leżały w polu,
Pomyśleć krew nam się ścina,
Wszyscy w objęciach wśród zbóż
Taka to wódki przyczyna...

Dzisiaj przy mogile ludzie przystają,
Na niej tablica jest taka:
„Nieszczęsne ciała tu spoczywają,
Tu grób rodziny pijaka!!!”

APEL

Kto by przypuszczał, że w Łodzi aż tyle wierszy się płodzi?!

Sadze w dymach, wody mało,
lecz miasto się rozśpiewało!

Wiersze i fraszki! Toż zgroza:
nikogo nie kusi proza!

Piszą Czarny i Doroba...
(Dowcipni jak sam Zagłoba!)

Co dzień w świat idzie koperta,
a w niej utwory Sztajnera...

Wiersz często winem rozcieńczy
półśladkim Jerzy Waleńczy!

Wiersze Kosiński, Wądryzanka
piszą każdego poranka!

Władysław Rymkiewicz
syn także zgłoski oblicza.

Znany z kawiarni przy
Piotrkowskiej,
błyska wierszami Piotrowski.

Wiersze uprawia Łoboda
i Szepiel (tego mi szkoda!)

O sympatyczni pisarze!
Przepraszam: o prozie marzę...

Gdzie humoreski, gdzie szkice,
a w szkicach ukryte witze?

Gdzie opowiesci, nowele —
czyż nie trza poczynać śmieje!

* * *

Kto w młodych twórców obozie
zechce pamiętać o prozie?



Dla rasowego humorysty nie ma „nie świętego”, jeśli tylko znajdzie on w jakiejś sytuacji zabawne spięcie. Może być ostatecznie tą sytuacją, nawet stypa lub porzeź, bohaterem żartu może się stać nawet żebrak, kaleka i skazany na śmierć...

Ten gatunek humoru, z pogranicza groteski i spraw raczej smutnych — jest n. b. we Francji zjawiskiem dość odosobnionym. Co innego Amerykanie — ci dosłownie pławią się w okropnościach. Wystarczy wspomnieć nazwiska emawianych już w naszym cyklu takich majstrów, jak Addams i Virgil Parth.

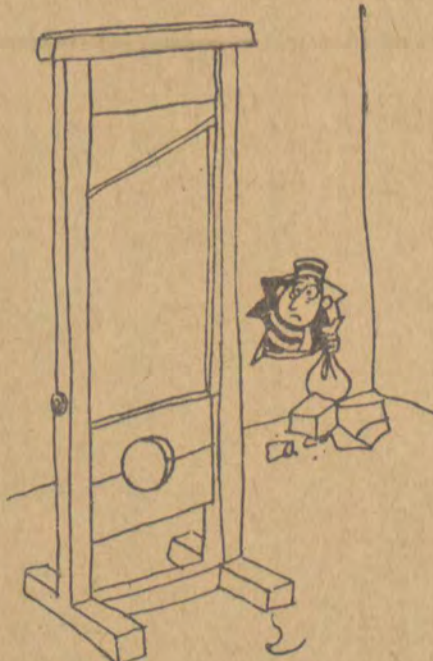
Więziennictwo — miejsce z zasady dość ponure — upodobał sobie za temat żartów Bernard Aldebert. Wypada jednak od razu zauważyć, że francuski rysownik nie podejmuje tak ryzykownych konceptów, co jego amerykańscy koledzy, nawet nie próbuje zbliżyć się do owej ledwo wyczuwalnej granicy, gdy dowcip przestaje być strawnym.

Aldebert — wytrawny humorysta starszego pokolenia — zna dobrze reguły gry. Wie, że kardynalną zasadą gatunku „żartów z dreszczykiem” jest przestrzeganie widocznego nieprawdopodobieństwa i anonimowości. Warunek niezbędny! Bo gdyby np. określić jakimkolwiek autentycznym nazwiskiem (choćby nazwiskiem Para-

monowa) skazańca z drukowanego obok żartu — paradoksalny dowcip zmieniłby się w niesmaczną makabrę.

Poza tematem „więziennym” ostry ołówek Aldeberta pokazuje też pogodniejsze zdarzenia: ceniony współpracownik „Le Rire” i „L'Id Paris” stworzył całe cykle rysunków o rybakach, kocia-kach i... nocy poślubnej.

J-ert.



BERNARD ALDEBERT



— Ostrożnie, schodek!...

Redaguje Zespół. O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 56. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. O Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Ilustrowane oraz PUPIK „Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 1 - 6-578 z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 478. 11. 53

odgłosy str. 11

